

ŚLADY



ZBRODNI

JO

Strzał prosto  
w serce

# NESBØ



## KREW NA ŚNIEGU



WYDAWNICTWO  
DOLNOSŁĄSKIE

JO  
NESBØ

KREW NA ŚNIEGU

Przełożyła z norweskiego  
Iwona Zimnicka



WROCŁAW 2015

Tytuł oryginału  
*Blod på snø*

Projekt okładki  
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce  
© Lydia Vero/Shutterstock.com

Redakcja  
IWONA GAWRYŚ

Korekta  
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna  
LOREM IPSUM

Copyright © Jo Nesbø 2015  
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem  
dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest  
zabronione.

All rights reserved



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-271-5335-7

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

Przypisy

# 1

Płatki śniegu tańczyły w świetle latarni jak kłębki waty. Nie obrały kierunku, nie wiedziały, czy lecą w dół, czy w górę, dawały się jedynie unosić piekielnemu lodowatemu wichrowi, nadciągającemu z wielkiej ciemności nad Oslofjorden. Kłębiły się razem, wiatr i śnieg, w mroku między pozamykanymi na noc budynkami magazynowymi na nabrzeżu. Wiatrowi w końcu się to nudziło i porzucił swojego partnera do tańca przy samej ścianie. Tam suchy, przewiany śnieg wbijał się pod podeszwy butów mężczyzny, któremu właśnie strzeliłem w pierś i w szyję.

Krew z kołnierzyka koszuli skapywała na śnieg. Nie znam się wprawdzie zbyt dobrze na śniegu – ani też, jeśli chodzi o ścisłość, na czymkolwiek innym – ale czytałem, że kryształki lodu, które tworzą się na trzaskającym mrozie, są zupełnie inne niż te w śniegu mokrym, ziarnistym czy szreni. Forma kryształków i ich suchość sprawiają, że zawarta we krwi hemoglobina zachowuje na takim śniegu głęboką intensywną czerwień. W każdym razie śnieg, na którym stał ten człowiek, skojarzył mi się z królewskim purpurowym płaszczem z gronostajem, takim jak na rysunkach w książce z norweskimi baśniami ludowymi, które kiedyś czytała mi matka. Lubiła baśnie i królów. Pewnie właśnie dlatego nadała mi imię po jednym z nich.

W „Aftenposten” napisali, że jeśli taki mróz utrzyma się do Nowego Roku, to 1975 będzie najzimniejszym rokiem od czasów wojny i zostanie zapamiętany jako początek nowej epoki lodowcowej, której nadejście uczeni wróżą już od jakiegoś czasu. Ale co ja tam wiem. Wiem tylko, że stojący przede mną mężczyzna wkrótce umrze – tych drgawek nie da się pomylić z niczym innym. Był jednym z ludzi Rybaka. To nie miało żadnych pobudek osobistych. Powiedziałem mu zresztą o tym, zanim osunął się na ziemię, pozostawiając na murze smugę krwi. Nie sądzę wprawdzie, żeby z tego powodu zrobiło mu się źlej. Kiedy mnie ktoś będzie miał zastrzelić, wolałbym, żeby to było z osobistych pobudek. Nie powiedziałem też tego wcale po to, by jego duch mnie nie nawiedzał, bo nie wierzę w duchy. Po prostu nic innego nie przyszło mi do głowy. Oczywiście mogłem się zamknąć i zwykle się zamykam. Coś więc musiało sprawić, że nagle stałem się taki rozmowny. Może nadchodzące święta. Słyszałem, że my, ludzie, w czasie Bożego Narodzenia usiłujemy się do siebie zbliżyć. Ale co ja tam wiem.

Myślałem, że krew zamarznie na śniegu i tak zostanie. Tymczasem jednak śnieg wsysał ją w siebie, wciągał pod powierzchnię, skrywał, jakby sam jej potrzebował.

Idąc do domu, wyobrażałem sobie powstającego z zasy bałwana, takiego z ledwie widocznymi naczyniami krwionośnymi pod trupioblądą lodową skórą. Z budki telefonicznej zadzwoniłem do Daniela



Hoffmanna i zameldowałem, że robota wykonana.

Hoffmann odparł tylko, że to dobrze. Jak zwykle nie zadawał żadnych pytań. Albo nauczył się ufać mi w ciągu tych czterech lat, kiedy likwidowałem dla niego, albo n i e c h c i a ł służyć. Robota wykonana, więc po co ktoś taki jak on miałby się tym zadreć, skoro płacił za eliminowanie udręka? Kazał mi przyjść do biura następnego dnia i oznajmił, że ma dla mnie nową robotę.

– Nową robotę? – powtórzyłem, czując, że serce podskakuje mi w piersi.

– Tak – potwierdził Hoffmann. – Nowe zlecenie.

– Aha.

Z ulgą odłożyłem słuchawkę. Bo oprócz tego, co robię, nadaję się do niewielu innych rzeczy.

A oto cztery rodzaje robót, do jakich się nie nadaję. Prowadzenie samochodu, którym się ucieka. Owszem, potrafię szybko jeździć, nie o to chodzi. Ale nie umiem jechać anonimowo, a ktoś, kto kieruje uciekającym autem, musi umieć jedno i drugie. Należy prowadzić tak, żeby być po prostu jeszcze jednym samochodem na drodze. Wpakowałem siebie i dwóch innych do więzienia tylko dlatego, że nie jeżdżę dostatecznie anonimowo. Gnałem jak szatan, przeplatałem leśne drogi głównymi szosami i dawno zgubiłem pościg, a do granicy szwedzkiej zostało mi zaledwie kilka kilometrów. Zdjąłem więc nogę z gazu, jechałem wolno i prawidłowo, niczym dziadek na niedzielnej wycieczce.

Mimo to zatrzymał nas policyjny patrol. Policjanci, jak mówili później, nie mieli pojęcia, że to samochód wykorzystany przy napadzie i że nie jechałem za szybko ani nie złamałem żadnych przepisów drogowych. Twierdzili, że chodzi o s p o s ó b, w jaki prowadziłem. Nie rozumiem, co konkretnie mieli na myśli, w każdym razie uznali, że jest podejrzany.

Nie nadaję się do napadów. Czytałem, że ponad połowa pracowników bankowych doświadczających napadów zmagają się później z problemami psychicznymi, niektórzy nawet do końca życia. Ale co ja tam wiem. W każdym razie ten staruszek, który siedział w okienku na poczcie, kiedy tam weszliśmy, zaczął się zmagać z problemami psychicznymi cholernie szybko. Zwalił się na ziemię, jakby tylko dlatego, że lufa mojej strzelby celowała raczej z grubsza w jego stronę. Dzień później w gazecie przeczytałem, że zmagają się z problemami psychicznymi. Szybka diagnoza, ale i tak problemy psychiczne to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył. Poszedłem odwiedzić go w szpitalu. Oczywiście mnie nie rozpoznał, bo na poczcie miałem na twarzy maskę Świętego Mikołaja. (To było idealne przebranie, nikt na ulicy nie zareagował na trzech facetów w pełnym mikołajowym umundurowaniu wybiegających z workami z urzędu pocztowego w samym środku świątecznego rozgardiaszu). Stałem w drzwiach do sali i patrzyłem, jak staruszek, który leżał na środkowym łóżku, czyta „Klassekampen”,

komunistyczną gazetę. Nie mam nic przeciw komunistom jako ludziom. Chociaż właściwie mam. Ale nie chcę mieć. Uważam po prostu, że oni się mylą. Dlatego odczuwałem tylko niewielkie wyrzuty sumienia z tego powodu, że było mi o wiele lepiej, kiedy zobaczyłem, że facet czyta „Klassekampen”. Oczywiście istnieje różnica między małymi a dużymi wyrzutami sumienia. No i tak jak powiedziałem, było mi o w i e l e lepiej. Zerwałem jednak z napadami. Mogło się przecież zdarzyć, że następny staruszek już nie będzie komunistą.

Nie mogę też pracować przy narkotykach, to już numer trzy. Zwyczajnie sobie nie radzę. Nie chodzi o to, że nie potrafię wycisnąć forsy z tych, którzy są dłużnikami moich szefów. Ćpuny same są sobie winne, a moim zdaniem ludzie powinni płacić za swoje błędy, po prostu. Problem polega raczej na tym, że mam słabą i wrażliwą naturę, jak to określała moja matka, a ona chyba się na mnie poznała. W każdym razie muszę się trzymać z daleka od narkotyków. Jestem – według niej – typem człowieka, który szuka czegoś, czemu mógłby się podporządkować. Religii, starszemu bratu, szefowi. Albo alkoholowi i narkotykom. Na dodatek nie umiem też rachować, ledwie udaje mi się policzyć do dziesięciu i już tracę koncentrację. Głupia sprawa, jeśli chodzi o kogoś, kto ma handlować narkotykami albo egzekwować długi, to się samo przez się rozumie.

No dobrze. Ostatnia rzecz. Prostytucja. Znów trochę to

samo. Nie mam nic przeciwko temu, żeby kobiety zarabiały tak, jak chcą, a jakiś facet – na przykład ja – zgarniał jedną trzecią ich zarobków za organizowanie im odpowiednich warunków pracy, niech się koncentrują na rzemiośle. Dobry alfons jest wart każdej korony, jaką mu płacą, zawsze tak uważałem. Kłopot w tym, że tak szybko się zakochuję, a wtedy tracę z oczu interes. No i nie umiem szturchnąć, uderzyć kobiety czy jej pogrozić, wszystko jedno, czy jestem w niej zakochany, czy nie. Może to ma związek z moją matką, nie wiem. Ale pewnie dlatego nie mogę nawet patrzeć, jak inni tłuką kobiety. Coś mi odbija. Weźmy na przykład Marię. Jest kulawa i głuchoniema. Nie wiem, jaki związek mają ze sobą te dwa kalectwa, prawdopodobnie żaden, ale tak to już bywa, że kiedy raz zacznie się dostawać złe karty, to dalej się takie sypią. Pewnie dlatego Maria związała się z wariatem, ćpunem. Gościem z eleganckim francuskim nazwiskiem, który był winien Hoffmannowi trzysta tysięcy za towar. Zobaczyłem ją pierwszy raz, kiedy Pine, szef alfonsów Hoffmanna, pokazał mi dziewczynę w płaszczu własnej roboty, z włosami upiętymi w kok, wyglądającą tak, jakby wyszła prosto z kościoła. Siedziała na schodach przed knajpą Ridderhallen i płakała, a Pine wyjaśnił mi, że będzie musiała odpracować narkotykowy dług swojego chłopaka. Pomyślałem, że najlepiej byłoby zapewnić jej łagodny start, wyłącznie ręczną robotę. Ale wyskoczyła z pierwszego samochodu, do którego

wsiadła, jeszcze przed upływem dziesięciu sekund. Zanosila się płaczem, a Pine na nią wrzeszczał. Może wydawało mu się, że ona go usłyszy, jeśli tylko będzie krzyczał dostatecznie głośno. Może właśnie o to chodziło. O ten wrzask. No i o moją matkę. W każdym razie odbiło mi i chociaż w pewnym sensie rozumiałem argumenty, które Pine usiłował za pomocą fal dźwiękowych przesłać do jej mózgu, skończyło się tym, że sprąłem na kwaśne jabłko własnego szefa. Potem zabrałem Marię do mieszkania, o którym wiedziałem, że jest do wynajęcia, a później poszedłem do Hoffmanna i oświadczyłem, że na alfonsa też się nie nadaję.

Hoffmann jednak powiedział – na co również nie miałem żadnych kontrargumentów – że nie może pozwolić, by ludzie nie spłacali długów, bo takie historie natychmiast wywierają wpływ na dyscyplinę płatniczą innych, ważniejszych klientów. Mając więc świadomość tego, że Pine i Hoffmann ścigają dziewczynę, która była na tyle głupia, że przejęła długi swojego chłopaka, zacząłem szukać Francuza, aż w końcu go znalazłem w komunie na Fagerborg. Był równie zaćpany, co spłukany, więc zrozumiałem, że bez względu na to, jak będę nim potrząsał, z kieszeni nie wypadnie mu nawet korona. Poinformowałem go, że jeśli znów bodaj zbliży się do Marii, wbije mu kość nosową w mózg. Prawdę mówiąc, wątpię, by cokolwiek jeszcze zostało z jednego i drugiego. Potem poszedłem do Hoffmanna, oznajmiłem, że chłopak Marii nareszcie

zdobył jakąś forszę, wręczyłem mu trzynaście tysięcy i powiedziałem, że liczę, iż sezon polowań na tę dziewczynę można tym samym uznać za zakończony.

Nie wiem, czy Maria coś brała, będąc z tym typem, czy również należała do tych, którzy pragną się czemuś podporządkować, w każdym razie teraz wydawała się czysta. Pracowała w delikatesach, do których przychodziłem od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy nie pojawił się ten ćpun, żeby znów wciągnąć ją w bagno. Oczywiście dbałem o to, by mnie nie widziała, stałem tylko w ciemności i zaglądałem do oświetlonego sklepu, widziałem ją siedzącą przy kasie, patrzyłem, jak wbija ceny i pokazuje na inne kasjerki, jeżeli jakiś klient coś do niej mówił. Chyba wszyscy mamy od czasu do czasu potrzebę poczuć, że umiemy wziąć przykład z rodziców? Nie mam pojęcia, co takiego było w moim ojcu, z czego mógłbym brać przykład, tu raczej chodziło o moją matkę. Potrafiła dbać o innych lepiej niż o siebie samą, a ja chyba uważałem to za coś w rodzaju ideału, Bóg jeden wie. I tak nie bardzo miałem na co wydawać pieniądze, które zarabiałem u Hoffmanna, nic więc się nie stało, że podrzuciłem atutową kartę dziewczynie, która przy rozdaniu dostała takie wszawe blotki.

A więc tak. Możemy podsumować następująco: nie umiem jeździć wolno, jestem miękki jak masło, zbyt łatwo się zakochuję, tracę głowę, kiedy się wkurzę,

i jestem słaby z rachunków. Czytałem to i owo, ale wiem mało, a w każdym razie niewiele o rzeczach, które mogą się przydać. I piszę wolniej, niż rośnie stalaktyt.

Do czego więc, na miłość boską, ktoś taki jak Daniel Hoffmann może wykorzystać kogoś takiego jak ja?

Odpowiedź brzmi – jak chyba można było już się zorientować – jako likwidatora.

Nie muszę jeździć samochodem, zabijam na ogół mężczyzn z rodzaju tych, którzy na to zasługują, i nie potrzebuję dokonywać przy tym skomplikowanych rachunków. Przynajmniej do tej pory.

Bo rachunki były tylko dwa.

Po pierwsze rachunek, w którym obliczeń należy dokonywać nieustannie: kiedy konkretnie będziesz miał takiego haka na swojego szefa, żeby zaczął się tym martwić – bo wtedy wiesz, że już się zastanawia, czy nie musi zlikwidować likwidatora. Trochę tak jak z czarną wdową, prawda? Nie, żebym znał się na arachnologii czy jak się to nazywa, ale czy nie jest tak, że czarna wdowa pozwala dokazywać o wiele od niej mniejszemu samcowi, a kiedy on skończy i nie jest jej już potrzebny, wtedy go zjada? W książce *Królestwo zwierząt, tom 4: Owady i pająki* w Bibliotece Deichmana jest w każdym razie zdjęcie czarnej wdowy, z której otworu rozrodczego zwisa odgryziona nogogłaszczka, czyli taki pajęczy fiut. Na zdjęciu widać też krwistoczerwoną plamkę w kształcie klepsydry, którą samica ma na brzuchu. Bo piasek w klepsydrze się przesypuje, ty

żałosny, napalony samcu, musisz wiedzieć, ile masz czasu na wizytę, a raczej kiedy ten czas się kończy. Wtedy spieprzaj stamtąd, wszystko jedno, deszcz czy śnieg, dwie kule w boku czy nie, chodzi tylko o to, aby się dostać tam, gdzie możesz znaleźć ocalenie.

Właśnie tak to widziałem. Rób to, co musisz, ale za bardzo się nie zbliżaj.

Dlatego cholernie nie podobało mi się to nowe zlecenie od Hoffmanna.

Chciał, żebym zlikwidował jego żonę.



## 2

– Chcę, żeby to wyglądało na włamanie, Olav.

– Dlaczego?

– Bo to musi wyglądać na coś innego, niż będzie w rzeczywistości, Olav. Policjanci zawsze tak się wzruszają, kiedy giną cywile. W trakcie śledztwa wykazują nadgorliwość. A gdy znaleziona zostaje martwa kobieta, która miała kochanka, wszystko wskazuje na męża. Oczywiście w dziewięćdziesięciu procentach słusznie.

– Siedemdziesięciu czterech, *sir*.

– Słucham?

– Tak tylko gdzieś czytałem, *sir*.

W Norwegii zwykle nie zwracamy się *sir* do nikogo, bez względu na władzę, jaką sprawuje. Z wyjątkiem członków rodziny królewskiej, rzecz jasna, do których mówi się Wasza Królewska Mość. Daniel Hoffmann zapewne by tak wolał. Tytuł *sir* zaimportował z Anglii wraz z meblami obitymi skórą, regałami z czerwonego mahoni i oprawionymi w skórę książkami ze starymi, pożółkłymi, nieczytanymi stronicami, z pewnością powieściami angielskich klasyków, ale co ja tam wiem. Rozpoznawałem tylko najpopularniejszych: Dickensa, Brontë i Austen. W każdym razie martwi pisarze tak wysuszali powietrze w jego gabinecie, że jeszcze długo

po tych wizytach wykastływałem celulozowy pył. Nie mam zielonego pojęcia, co w Anglii aż tak bardzo fascynowało Hoffmanna, ale wiedziałem, że przez krótki czas tam studiował i wrócił do domu z walizką pełną tweedowych garniturów, ambicji i sztucznych grzecznościowych formułek wypowiedzianych oksfordzką angielszczyzną z norweskim akcentem. Za to bez dyplomu czy jakiegokolwiek innej wiedzy oprócz tej, że światem rządzą pieniądze. No i jeszcze że jeżeli chce odnieść sukces w interesach, to musi stawiać na branżę, w której konkurencja jest najsłabsza. W Oslo w tym czasie taką branżą był rynek prostytutek. W zasadzie prawie nie wymagało to analizy. Daniel Hoffmann zrozumiał, że na rynku, którym rządzą szarlatani, idioci i amatorzy, nawet przeciętniak ma szansę zasiąść na tronie. Pozostawała jedynie kwestia niezbędnej moralnej elastyczności, która stanowi wymóg codziennego rekrutowania młodych kobiet i nakłaniania ich do prostytuowania się. Daniel Hoffmann po krótkim namyśle stwierdził, że ją ma. Gdy kilka lat później zaczął rozszerzać działalność o rynek heroiny, już uważał się za człowieka, który odniósł sukces. A ponieważ królami rynku heroiny w Oslo do tej pory byli nie tylko szarlatani, idioci i amatorzy, lecz na dodatek jeszcze ćpuny z zakutymi łbami, zaś moralna elastyczność Hoffmanna pozwalała mu – jak się okazało – na wciąganie młodych ludzi do narkotykowego piekła, to odniósł kolejny sukces. Obecnie jedynym

problemem Hoffmanna był Rybak. Konkurent stosunkowo świeżej daty na rynku heroinowym, niestety, wcale nie idiota. Bóg jeden wie, że klientów w Oslo wystarczyłoby dla nich obu, a jednak starali się, jak potrafili, zetrzeć siebie nawzajem z powierzchni ziemi. Dlaczego? Hm. Przypuszczam, że żaden z nich nie urodził się z moim talentem do podporządkowania się. A rzeczy się komplikują, gdy ludzie, którzy m u s z ą rządzić, m u s z ą siedzieć na tronie, odkrywają niewierność swoich kobiet. Przypuszczam, że takim Danielom Hoffmannom żyłoby się lepiej i prościej, gdyby potrafili spojrzeć przez palce, a przynajmniej wybaczyć żonie jeden czy drugi romans.

– Myślałem o tym, żeby zrobić sobie przerwę świąteczną – powiedziałem. – Zaprosić kogoś i wyjechać na pewien czas.

– Zaprosić? Nie sądziłem, żebyś pozostawał z kimś w tak intymnych stosunkach, Olav. To jedna z rzeczy, które w tobie lubię. To, że nie masz komu zwierzać się z tajemnic. – Roześmiał się i strzepnął popiół z cygara. Nie obraziłem się. On wcale nie chciał mnie urazić. Na pierścieniu opasującym cygaro był napis *Cohiba*. Czytałem gdzieś, że na przełomie stuleci cygara były w zachodnim świecie najczęściej wręczanym prezentem gwiazdkowym. Czy to by nie wyglądało dziwnie? Przecież nawet nie wiedziałem, czy ona pali. W każdym razie w pracy nie widziałem jej z papierosem.

– Jeszcze nie pytałem – wyjaśniłem. – Ale...

– Zapłacę ci pięciokrotność twojego zwykłego honorarium – oświadczył Hoffmann. – Później będziesz mógł zabrać tę osobę na niekończące się ferie świąteczne, jeśli zechcesz.

Próbowałem policzyć. Ale, jak wspominałem, nie nadaję się do tego.

– Tutaj masz adres – powiedział Hoffmann.

Pracowałem dla niego od czterech lat, a do tej pory nie wiedziałem, gdzie mieszka. Po co miałem to wiedzieć? On też nie znał mojego adresu. Nie poznałem również jego nowej żony. Byłem tylko świadkiem, jak Pinemu nie zamykała się gęba, kiedy gadał i gadał o tym, jaka z niej laska i ile by zgarnął, gdyby miał na ulicy kilka takich panienek jak ona.

– Na ogół w ciągu dnia siedzi sama w domu – podjął Hoffmann. – Przynajmniej tak mi mówi. Załatw tę sprawę, jak chcesz, Olav. Ufam ci. Im mniej będę wiedział, tym lepiej. Rozumiesz?

Pokiwałem głową. Tym lepiej, pomyślałem. Im mniej.

– Olav?

– Tak, *sir*, rozumiem.

– To dobrze.

– Proszę mi pozwolić zastanowić się nad tym do jutra, *sir*.

Hoffmann uniósł starannie wypielęgnowaną brew. Nie bardzo się znam na ewolucji i tych tam sprawach, ale czy Darwin nie twierdził, że istnieje sześć uniwersalnych min wyrażających ludzkie uczucia? Nie mam pojęcia,

czy Hoffmann ma sześć ludzkich uczuć, ale sędzę, że tym, co pragnął zakomunikować poprzez uniesienie tej brwi – w przeciwieństwie do tego, co oznaczałoby jawne otwarcie ust – było łagodne zaskoczenie powiązane z inteligentną refleksją.

– Właśnie przekazałem ci szczegóły, Olav, a ty teraz, już po fakcie, zastanawiasz się, czy się nie wycofać?

Groźbę ledwie dało się uchwycić. Zresztą gdyby tak było, raczej w ogóle bym jej nie zauważył – jestem beznadziejnie niemuzyczny, jeśli chodzi o wyłapywanie pół- i ćwierćtonów w tym, co mówią ludzie. Należało więc założyć, że ta groźba zabrzmiała wyraźnie. Daniel Hoffmann miał niebieskie, przejrzyste oczy i czarne rzęsy, górne i dolne. Gdyby był dziewczyną, pomyślałbym, że się umalował. Nie wiem, dlaczego o tym wspominam, bo to nie ma żadnego związku ze sprawą.

– Nie zdążyłem tego zasygnalizować, zanim podał mi pan szczegóły, *sir*. Dam panu odpowiedź dziś wieczorem, w porządku, *sir*?

Spojrzał na mnie. Dmuchał w moją stronę dymem z cygara. Siedziałem z rękami na kolanach. Gładziłem palcami daszek kaszketu, którego nie miałem.

– Przed szóstą – odparł. – Wtedy wychodzę z biura. Kiwnąłem głową.

Kiedy szedłem do domu ulicami w śnieżnej zadymce, była czwarta i po kilku godzinach szarówki znów

nadciągała ciemność. Wciąż wiało, z mrocznych zaułków dobiegał świst, niepowiązany z żadną twarzą. Śnieg trzeszczał pod butami jak kartki przesuszonych książek, a ja myślałem. Zwykle staram się tego unikać; nie jest to dziedzina, w której dostrzegam potencjał poprawy poprzez praktykę, a poza tym wiem z doświadczenia, że rzadko prowadzi to do czegoś dobrego. Ale wróciłem do pierwszego z dwóch rachunków. Sama likwidacja powinna pójść gładko. Prawdopodobnie łatwiej niż moje poprzednie roboty. I to, że ta kobieta miała umrzeć, również było okej; tak jak już wspominałem, uważam, że ludzie – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – powinni ponosić konsekwencje popełnianych błędów. Bardziej martwiła mnie nieuchronność tego, co musiało nastąpić później. Stanę się przecież facetem, który zlikwidował żonę Daniela Hoffmanna. Tym, który wie wszystko i który w chwili rozpoczęcia policyjnego śledztwa będzie posiadał moc decydowania o losie Daniela Hoffmanna, decydowania o człowieku niezdolnym do podporządkowania się, a w dodatku winnym mi pięciokrotność mojego zwykłego honorarium. Dlaczego zaproponował mi je za coś, co było mniej niż średnio skomplikowanym zleceniem?

Czułem się jak facet siedzący przy stoliku do pokera z czterema uzbrojonymi po zęby i z natury podejrzliwymi gośćmi, którzy nie umieją przegrywać. Właśnie dostał bezpośrednio do ręki cztery asy.

Czasami dobre wiadomości bywają tak niewiarygodnie dobre, że są złe.

Okej. Mądry pokerzysta w takiej sytuacji pewnie wymieniłby karty, pogodził się z przegraną i wykrzesał z siebie nadzieję na więcej – i bardziej adekwatnego – szczęścia przy następnej partii. Mój problem polegał jednak na tym, że na wymianę kart było już za późno. Wiedziałem, że to Hoffmann będzie stał za zabójstwem swojej żony, bez względu na to, czy zrobię to ja, czy ktoś inny.

Zorientowałem się, dokąd zanosły mnie nogi. Zapatrzyłem się w światło.

Upięła włosy w kok, dokładnie tak, jak czesała się moja matka. Kiwała głową i uśmiechała się do klientów, którzy się do niej odzywali. Większość pewnie już wiedziała, że jest głuchoniema. Mówili do niej: „Wesołych świąt”, „Do widzenia”. Zwykle życzliwe słowa, jakie mówią sobie normalni ludzie.

Pięciokrotność zwykłego honorarium. Niekończące się ferie świąteczne.

### 3

Dzień później wynająłem pokój w pensjonacie położonym naprzeciwko mieszkania Hoffmannów na Bygdøy allé. Zamierzałem przez parę dni poobserwować, czym zajmuje się żona Hoffmanna, czy gdzieś wychodzi w czasie, gdy mąż jest w pracy, albo czy ktoś ją odwiedza. Nie interesowało mnie, kim jest jej kochanek. Chodziło mi wyłącznie o znalezienie najkorzystniejszego, najmniej ryzykownego momentu, w którym mógłbym uderzyć: kiedy była sama w domu i nikt nie mógł mi przeszkodzić.

Okazało się, że z mojego pokoju w pensjonacie widzę nie tylko, kiedy Corina Hoffmann wychodzi i wraca, lecz mam też idealny widok na to, czym się zajmuje w mieszkaniu. Hoffmannowie bowiem najwyraźniej nie lubili zasłon. Mało kto lubi zasłony w mieście, w którym nie trzeba odgradzać się od słońca, a ludzi na ulicach bardziej interesuje dotarcie pod dach, do najbliższego pieca, niż stanie i gapienie się w czyjeś okna.

Przez pierwsze godziny nie zauważyłem nikogo wewnątrz. Widziałem jedynie salon skąpany w świetle. Hoffmannowie nie oszczędzali prądu. Meble nie były angielskie, wyglądały mi bardziej na francuskie, zwłaszcza ta dziwna kanapa ustawiona na środku



pokoju, która miała oparcie tylko z jednego, krótszego boku. Chyba właśnie to Francuzi nazywają szezlongiem, a nazwa ta – jeśli mój nauczyciel francuskiego mnie nie oszukał – oznacza „długie krzesło”. Mebel miał wyrafinowane, asymetryczne rzeźbienia, roślinny motyw na obiciu. Według książki o historii sztuki, należącej do mojej matki, rokoko, ale znałem się na tym tak mało, że równie dobrze mebel mógł wyjść spod ręki jakiegoś miejscowego stolarza i zostać ozdobiony ludowymi norweskimi wzorami. W każdym razie wnętrza nie urządzałaby tak osoba młoda, obstawiałem więc, że to wybór poprzedniej żony Hoffmanna. Pine mówił, że Hoffmann wyrzucił ją tego roku, kiedy skończyła pięćdziesiąt lat. D l a t e g o, że skończyła pięćdziesiąt lat. I dlatego, że ich syn się wyprowadził, więc nie pełniła już żadnej funkcji w domu. Wszystko to – według Pinego – Hoffmann powiedział jej wprost, a ona to zaakceptowała. To, mieszkanie z widokiem na morze i czek na półtora miliona.

Żeby czas jakoś mi płynął, wyjąłem kartki z moimi zapiskami. To tylko taka tam bazgranina. Chociaż nie, nieprawda, to raczej list. Nie wiem do kogo. A raczej wiem. No ale nie jestem najlepszy w pisaniu, robię masę błędów, sporo muszę kreślić. Zużyłem mnóstwo papieru i atramentu na słowa, które się ostały, że się tak wyrażę. Tego dnia szło mi tak opornie, że w końcu odłożyłem kartki, zapaliłem papierosa i trochę pomarzyłem na jawie.

Jak już wspomniałem, nigdy nie widziałem nikogo z rodziny Hoffmanna, ale teraz, siedząc tu i wpatrując się w mieszkanie po drugiej stronie ulicy, zacząłem ich sobie wyobrażać. Lubię zaglądać do cudzych domów. Zawsze lubiłem. Zająłem się więc tym, czym zawsze się zajmuję. Wyobrażaniem sobie życia rodzinnego toczącego się za oknami. Dziewięcioletniego syna, który wraca do domu ze szkoły, a potem siedzi w salonie i czyta najprzeróżniejsze książki wypożyczone z biblioteki. Matkę, która cicho podśpiewuje, szykując obiad w kuchni. I ten moment, kiedy matka i syn sztywnieją na ułamek sekundy, gdy otwierają się drzwi. A potem, kiedy mężczyzna staje w progu i z wyraźną dykcją woła wesoło: „Jestem w domu!”, oboje oddychają z ulgą, biegną do przedpokoju i mocno go obejmują.

Właśnie kiedy siedziałem zatopiony w takich przyjemnych myślach, Corina Hoffmann przeszła z sypialni do salonu i wszystko się odmieniło.

Światło.

Temperatura.

Rachunek.

Tego popołudnia nie wybrałem się do delikatesów.

Nie czekałem, aż Maria zamknie, co robiłem od czasu do czasu, i nie poszedłem za nią w bezpiecznej odległości do podziemnej kolejki. Nie stanąłem za nią w tłoku w wagonie, w którym zawsze wołała stać, nawet

jeśli były wolne miejsca. Tego popołudnia nie sterczałem tam jak szalenięć i nie szeptałem słów, które tylko ja mogłem usłyszeć.

Tego popołudnia siedziałem w ciemnym pokoju i jak zaczarowany gapiłem się na kobietę po drugiej stronie ulicy. Na Corinę Hoffmann. Mogłem mówić, co chciałem, i tak głośno, jak chciałem. Nikt inny mnie nie słyszał. I nie musiałem patrzeć na nią od tyłu, na jej kok, żeby wyobrazić sobie nieistniejące piękno.

Tancerka na linie. Taka była moja pierwsza myśl, kiedy Corina Hoffmann weszła do salonu. Miała na sobie biały szlafrok frotté i poruszała się jak kot. Nie mam na myśli inochodu, jakim przemieszczają się niektóre ssaki, na przykład koty i wielbłądy – jednocześnie przestawiają obie nogi po jednej stronie ciała, a następnie unoszą dwie z drugiej strony. Tak słyszałem. Chodzi mi o to, że kotowate – jeśli usłyszałem dobrze – stąpają na palcach, a tylne łapy stawiają na śladach przednich. Właśnie to robiła Corina. Stawiała jedną bosą stopę tuż przed drugą, nie zginając przy tym nogi w kostce. Jak tancerka na linie.

W Corinie Hoffmann wszystko było piękne. Twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, wargi Brigitte Bardot, jasne, lekko zmierzwiłone proste włosy. Długie szczupłe ręce wystające z szerokich rękawów szlafroka, górna część piersi tak miękka, że poruszała się, kiedy ona szła i kiedy oddychała. I ta biała, biała skóra, na rękach, twarzy, piersiach, łydkach, mój

Boże, to przypominało pokryte śniegiem płaskowyże drżące w słońcu, coś, od czego w ciągu kilku godzin można się nabawić ślepoty śnieżnej. Krótko mówiąc, w Corinie Hoffmann podobało mi się wszystko. Wszystko, z wyjątkiem nazwiska.

Wyglądało na to, że się nudzi. Wypiła kawę. Porozmawiała przez telefon. Poczytała trochę jakiś magazyn, ale zignorowała gazety. Zniknęła w łazience i wyszła z niej, nadal w szlafroku. Nastawiła płytę, do której trochę, bez entuzjazmu, potańczyła. Chyba swing. Coś zjadła. Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Przebrała się w sukienkę. Uczesała się i nastawiła inną płytę. Otworzyłem okno i usiłowałem się wsłuchać, ale był za duży ruch. Znów więc sięgnąłem po lornetkę i spróbowałem wyostrzyć obraz okładki płyty, którą położyła na niskim stole w salonie. Na wierzchu widniał chyba portret kompozytora. Antonio Lucio Vivaldi? Kto wie. Najważniejsze, że kobieta, do której Daniel Hoffmann wrócił piętnaście po szóstej, była zupełnie inną osobą niż ta, z którą spędziłem cały dzień.

Chodzili wokół siebie. Nie dotykali się. Nie rozmawiali ze sobą. Jak dwa elektrony, które wzajemnie odpychają się od siebie, ponieważ są tak samo ujemnie naładowane. W końcu jednak zamknęli drzwi do wspólnej sypialni.

Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć.

Co sprawia, że dociera do nas świadomość naszej

śmiertelności? Co się wydarza w dniu, gdy nagle już wiemy, że to nie tylko ewentualność, ale cholerny fakt, że nasze życie się skończy? Z pewnością z każdym jest inaczej, ale na mnie podziałał tak widok agonii mojego ojca. Banalność i fizyczność śmierci, patrzeć na to jak na muchę zdychającą na parapecie. Dlatego bardziej interesujące jest pytanie: Co sprawia, że po uzyskaniu tej wiedzy znów zaczynamy wątpić? Czy staliśmy się mądrzejsi? Uważamy jak ten filozof – David jakiś tam – że chociaż coś regularnie się powtarza, to jednak nie ma pewności, że powtórzy się kolejny raz. Nie mając logicznego dowodu, *n i e w i e m y* na pewno, że historia się powtórzy. A może po prostu zdążyliśmy się zestarzeć i zaczęliśmy bardziej się bać, ponieważ to się zbliża? Czy może chodzi o coś zupełnie innego? Na przykład o to, że nagle pewnego dnia widzimy coś, czego istnienia sobie nie uświadamialiśmy. Czujemy coś, a nie wiedzieliśmy, że możemy to poczuć. Pukając w ścianę pokoju, słyszymy głuchy odgłos i rozumiemy, że za pokojem może być jeszcze jeden pokój. Zapala się nadzieja, bolesna, denerwująca nadzieja, która cały czas podgryza i nie pozwala się zignorować. Nadzieja na istnienie drogi ucieczki, dzięki której da się oszukać śmierć, bocznej uliczki, prowadzącej do miejsca, o którym się nie wiedziało. Nadzieja na to, że istnieje sens. Że istnieje opowieść.

Następnego dnia rano wstałem o tej samej porze

co Daniel Hoffmann. Kiedy wychodził z domu, wciąż było ciemno jak w grobie. Nie wiedział, że tu jestem. Powiedział przecież, że n i e c h c e wiedzieć.

Usiadłem na krześle przy oknie i zacząłem czekać na Corinę. Wyjąłem kartki i próbowałem się przedrzeć przez ten mój list. Słowa były jeszcze bardziej niezrozumiałe niż zwykle, a tych kilka, które pojąłem, wydało mi się nagle nieistotne i martwe. Dlaczego po prostu nie wyrzuciłem całego tego gówna? Czyżby tylko dlatego, że na te nieszczęsne zdania poświęciłem tyle czasu? Odłożyłem kartki i zacząłem obserwować nędzne życie uliczne w zimowym Oslo, dopóki nie pojawiła się Corina.

Dzień przebiegł mniej więcej tak jak poprzedni. Wyszła na spacer, ruszyłem za nią. Obserwując Marię, nauczyłem się, jak najskuteczniej kogoś śledzić, pozostając niezauważonym. Corina kupiła w sklepie apaszkę, w cukierni wypiła herbatę z przyjaciółką – domyśliłem się tego po mowie ciała – i wróciła do domu.

Była dopiero druga, więc zrobiłem sobie kawę. Patrzyłem, jak Corina leży na ustawionym na środku pokoju szezlongu. Włożyła sukienkę, tym razem inną. Materiał przesuwał się po jej ciele, kiedy się obracała. Szezlong to dziwny mebel, ni pies, ni wydra. Kiedy Corina się poruszała, szukając lepszej pozycji, robiła to powoli, w wystudiowany sposób, świadoma własnego ciała. Jakby wiedziała, że jest obserwowana. Że budzi

pożądanie. Spojrzała na zegarek, przerzuciła strony czasopisma, tego samego co wczoraj. Nagle ledwie zauważalnie zdrętwiała.

Nie usłyszałem dzwonka do drzwi.

Wstała, poruszając się z kocią miękkością, jakby nie miała stawów, poszła do drzwi i otworzyła.

Był ciemnowłosy, dość szczupły i delikatny, w jej wieku.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, powiesił kurtkę i zrzucił buty w sposób świadczący o tym, że nie przyszedł tu pierwszy raz. Ani też nie drugi. Co do tego nie było wątpliwości. W ogóle nigdy nie było żadnych wątpliwości. Dlaczego więc wątpiłem? Ponieważ chciałem wątpić?

Uderzył ją.

W pierwszej chwili tak się tym zdumiałem, że pomyślałem, iż coś mi się przywidziało. Ale on zrobił to jeszcze raz. Uderzył ją mocno w twarz płaską dłonią. Cios aż odrzucił jej głowę na bok. Jasne włosy zaplątały się w jego palce. Po wyrazie jej ust poznałem, że krzyknęła.

Jedną ręką ścisnął ją za szyję, drugą ściągnął z niej sukienkę.

Tam, pod żyrandolem, jej naga skóra była tak biała, że tworzyła gładką powierzchnię, nie miała żadnych kształtów, jedynie nieprzeniknioną biel, jak śnieg w płaskim świetle w pochmurny albo mglisty dzień.

Wziął ją na szeslongu. Staął ze spodniami

opuszczonymi do kostek, przy końcu bez oparcia, a ona leżała na jasnych haftach przedstawiających niewinne, po europejsku wyidealizowane wyobrażenia lasu. Był chudy. Widziałem jego mięśnie poruszające się między żebrami. Muskulaturę pośladków napinającą się i rozluźniającą jak pompa. Trząśł się i drżał, jakby się wściekał, że nie może zrobić czegoś... więcej. Ona leżała z rozrzuconymi nogami, zupełnie bierna, prawie jak martwa. Chciałem odwrócić głowę, ale nie zdołałem. Patrzenie na nich z czymś mi się kojarzyło. Nie mogłem tylko sobie uzmysłować z czym.

Chyba dopiero w nocy, kiedy już nastąpiła cisza, w końcu to sobie przypomniałem. W każdym razie przyśniło mi się zdjęcie z książki, którą oglądałem w Bibliotece Deichmana jako chłopiec – *Królestwo zwierząt, tom 1: Ssaki*. Zrobiono je na sawannie w rejonie Serengeti w Tanzanii czy mniej więcej gdzieś tam. Trzy wściekłe, podniecone chude hieny, które albo same powaliły zwierzynę, albo przepędziły lwy. Dwie z napiętymi mięśniami zadów stały z pyskami zanurzonymi w otwartym brzuchu zębry. Trzecia odwróciła się do obiektywu. Łeb miała śliski od krwi, odsłonięte spiczaste zęby. Ale najbardziej zapamiętałem jej spojrzenie. Spojrzenie, które żółte ślepia posłały kamerze, zdawało się wychodzić ze stronicy w książce. *Ostrzegało. To nie twoje, to nasze. Odejdź stąd. Bo inaczej ciebie też zabijemy.*



## 4

Kiedy stoję za tobą w kolejce, zawsze czekam, aż nasz wagon wjedzie na złączenie szyn, zanim coś powiem. A może to jest miejsce, w którym szyny się dzielą. W każdym razie gdzieś tam głęboko pod ziemią, gdzie metal dzwoni i stuka o metal, ten dźwięk o czymś mi przypomina, o czymś, co ma związek z porządkiem, z tym, że rzeczy wpadają na swoje miejsce, o czymś związanym z losem. Wagonem rzuca, a ci, którzy nie podróżują tą trasą stale, na moment tracą równowagę i sięgają po coś, po cokolwiek, co pomoże im się utrzymać na nogach. Zwrotnica robi tyle hałasu, że mogę powiedzieć to, co chcę powiedzieć. Szepnąć to, co chcę szepnąć. Właśnie w tym miejscu, w którym nikt inny nie może mnie usłyszeć. Ty i tak nie możesz. Słyszeć siebie mogę tylko ja sam.

Co mówię?

Nie wiem. Po prostu to, co przychodzi mi do głowy, nie wiem, skąd się biorą te słowa i czy naprawdę tak myślę. Owszem, w danej chwili tak, bo ty też jesteś piękna, kiedy stoję w ścisiku za twoimi plecami, widzę węzeł twoich włosów i muszę domyślać się reszty.

Ale nie mogę sobie wyobrazić ciebie inaczej niż jako ciemnej, bo taka jesteś. Nie jesteś jasna jak Corina. Nie masz tak krwistoczerwonych warg, że chce się je

ugryźć. Nie masz muzyki w wygięciu pleców i krzywiźnie piersi. Do tej pory istniałaś z braku innych. Wypełniłaś pustkę, o której istnieniu nawet nie wiedziałem.

Zaprosiłaś mnie wtedy do domu na obiad. Tamtym razem, tuż po tym, jak wybawiłem cię z kłopotów. Myślę, że w ramach podziękowania. Napisałaś zaproszenie na kartce, którą mi wręczyłaś. Powiedziałem, że przyjdę. Już chciałem to napisać, ale uśmiechem dałaś znać, że rozumiesz.

Nie przyszedłem.

Dlaczego?

Chciałbym znać odpowiedź na wszystkie takie pytania.

Ja to ja, a ty to ty? Co o tym myślisz?

A może było jeszcze prościej? Na przykład to, że jesteś kulawa i głuchoniema. Sam mam w pewnym sensie dość ułomności na własnym koncie. Jak już wspominałem, nie nadaję się do niczego z wyjątkiem jednej rzeczy. Co byśmy, do cholery, sobie powiedzieli? Na pewno zaproponowałybyś, żebyśmy do siebie pisali na karteczkach, a ja, jak już mówiłem, cierpię na dysleksję i dysgrafię, ogólnie na ślepotę słowną. Jeśli wcześniej tego nie powiedziałem, to mówię teraz.

Może więc rozumiesz, Mario, że mężczyzna za bardzo się nie rozpali od twojego głośnego, skrzekliwego rechotu, charakterystycznego dla głuchoniemych, którym wybuchłaś dlatego, że on przed chwilą napisał „masz takie piękne oczy” z czterema

błędami.

Wszystko jedno. Nie przyszedłem. Tak wyszło.

Daniel Hoffmann chciał wiedzieć, dlaczego wykonanie zlecenia tak się przeciąga.

Spytałem, czy się ze mną zgodzi, że zanim zacznę działać, powinienem zadbać o to, by ślady nie doprowadziły do żadnego z nas. Zgodził się.

Dalej więc obserwowałem mieszkanie.

W następnych dniach ten chłopak odwiedzał ją codziennie o tej samej godzinie, zaraz po zapadnięciu ciemności, o trzeciej. Wchodził, zdejmował kurtkę, bił. To samo powtarzało się za każdym razem. Ona najpierw zasłaniała się rękami. Po jej ustach i wyglądzie mięśni na szyi widziałem, że coś do niego woła, prosi, żeby przestał. Ale on nie przestawał. Dopiero wtedy, kiedy łzy zaczynały jej płynąć po policzkach. Wtedy – i dopiero wtedy – zdierał z niej sukienkę. Za każdym razem nową. Potem ją brał na szeszlengu. Wyraźnie było widać, że ma nad nią władzę. Mógłbym powiedzieć, że ona jest w nim beznadziejnie zakochana. Tak jak Maria w tym swoim ćpunie. Niektóre kobiety nie wiedzą, co dla nich dobre, po prostu wylewają z siebie miłość, nie żądając niczego w zamian. Może się wręcz wydawać, że właśnie brak wzajemności jeszcze bardziej je rozpała. Pewnie cały czas mają nadzieję, że któregoś dnia zostaną wynagrodzone, biedaczki. Pełne nadziei beznadziejne zakochanie. Ktoś powinien je wreszcie

nauczyć, że świat nie funkcjonuje w taki sposób.

Ale nie wydaje mi się, żeby Corina była zakochana. Nie sprawiała wrażenia aż tak zaangażowanej. Owszem, po akcie go głaskała, odprowadzała do drzwi, kiedy wychodził trzy kwadransy po przyjściu, tuliła się do niego trochę sztucznie, zapewne szeptała jakieś czułe słówka. Jednak za każdym razem, kiedy znikał za drzwiami, wyglądała tak, jakby jej ulżyło. A wydaje mi się, że wiem, jak wygląda osoba zakochana. Dlaczego więc ona – młoda żona największego dostawcy ekstazy w tym mieście – miałaby ryzykować wszystko dla taniego romansu z facetem, który ją bił?

Pojąłem to czwartego wieczoru. A kiedy to zrozumiałem, najbardziej zdziwiłem się tym, że znalezienie odpowiedzi zajęło mi tyle czasu. Ten kochanek coś na nią miał. Coś, co mógł dać Danielowi Hoffmannowi, jeśli nie będzie mu posłuszna.

Kiedy się obudziłem piątego dnia, podjąłem decyzję. Postanowiłem wypróbować boczną uliczkę prowadzącą do tego miejsca, o którym się nie wie.

## 5

Padał lekki śnieg.

Chłopak przyszedł o trzeciej i coś jej przyniósł. Coś w malutkim pudełeczku. Nie dostrzegłem, co to jest. Zauważyłem tylko, że na moment się rozpromieniła. Rozjaśniła nocny mrok za wielkim oknem salonu. Wyglądała na zaskoczoną. Sam byłem zaskoczony. Ale obiecałem sobie, że ten uśmiech, który pokazała jemu, p o d a r u j e mnie. Musiałem tylko zrobić to właściwie.

Kiedy wyszedł stamtąd trochę po czwartej – zabawił dłużej niż zwykle – już czekałem w cieniu po drugiej stronie ulicy.

Obserwowałem, jak znika w ciemności, a potem podniosłem wzrok. Stała przy oknie, jak na scenie. Wyciągnęła rękę i bacznie przyglądała się czemuś na niej. Nie potrafiłem tego dojrzeć. Nagle wyprostowała głowę i popatrzyła w ten cień, w którym stałem. Wiedziałem, że to niemożliwe, by mnie zauważyła, ale mimo wszystko... To świdrujące, poszukujące spojrzenie. Nagły strach, desperacja, niemal błaganie na jej twarzy. „Świadomość, że losu nie da się zmienić”, jak ktoś napisał w książce, za cholere nie wiem w jakiej. Zacisnąłem rękę na pistolecie w kieszeni płaszcza.

Odczekałem, aż Corina odwróci się od okna, i wyłoniłem się z cienia. Szybkim krokiem przeszedłem na drugą stronę ulicy. Na chodniku odnalazłem ślady jego butów, odcisnięte w cieniutkiej warstewce świeżego śniegu. Pospiesznie ruszyłem za nim.

Kiedy skręciłem za następny róg, zobaczyłem jego plecy.

Oczywiście zdążyłem wziąć pod uwagę kilka ewentualności.

Że miał gdzieś zaparkowany samochód. W takim razie skierowałyby się zapewne w którąś z bocznych uliczek na Frogner, tych wyludnionych, źle oświetlonych. Idealnych. Ale mógł też wejść do jakiegoś baru czy restauracji. Wówczas mogłem zaczekać. Miałem morze czasu. L u b i ł e m czekać. Lubiłem ten czas od podjęcia decyzji do chwili, kiedy coś zaczynało się dziać. To jedyne minuty, godziny, dni w moim najprawdopodobniej krótkim życiu, kiedy byłem kimś. Byłem czyimś losem.

Brałem także pod uwagę, że wsiądzie do autobusu albo taksówki.

Zaleta tego rozwiązania polegałaby na tym, że choć trochę oddalilibyśmy się od Coriny.

Zszedł do stacji kolejki podziemnej przy Teatrze Narodowym.

Było dużo ludzi, dlatego mogłem podejść bliżej.

Wsiadł do pociągu jadącego na zachód. Chłopak z zachodniej dzielnicy. Nie poruszałem się zbyt często

po tym obszarze miasta. Za dużo pieniędzy, tak że nie ma gdzie ich podziąć, mawiał zwykle mój ojciec. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

Nie była to ta kolejka, którą zwykle jeździła Maria. Ale pierwszy odcinek biegł po tych samych torach.

Zająłem miejsce za nim. Jechaliśmy tunelem, ale ciemność nie różniła się niczym od tej na zewnątrz. Wiedziałem, że wkrótce dotrzemy do tego miejsca. Zazgrzyta żelazo i wagonem lekko zarzuci.

Bawiłem się myślą o przystawieniu lufy pistoletu do oparcia i wystrzeleniu w chwili, gdy będziemy tamtędy przejeżdżać.

Kiedy dotarliśmy do tego miejsca, po raz pierwszy usłyszałem, co mi przypomina ten dźwięk. Metal o metal. Uczucie porządku i rzeczy wpadających na swoje miejsca. Losu. To był odgłos mojej pracy, dźwięk ruchomych metalowych części, napinającej się sprężyny, przeładowania i odrzutu.

Jako jedyni wysiedliśmy na Vinderen. Szedłem za nim. Śnieg skrzypiał. Pilnowałem się, by iść w tym samym rytmie co on, tak żeby mnie nie usłyszał. Po obu stronach ulicy stały wille, lecz mimo to byliśmy tutaj tak osamotnieni, że równie dobrze mogliśmy znajdować się na Księżycu.

Podszedłem do niego i w chwili, kiedy lekko się odwrócił, może po to, by sprawdzić, czy zbliża się do niego ktoś znajomy z sąsiedztwa, strzeliłem mu nisko w plecy. Upadł przy drewnianym płocie,

obróciłem go nogą. Popatrzył na mnie szklanym wzrokiem, przez chwilę pomyślałem, że już nie żyje. Ale poruszył ustami.

Mogłem mu strzelić w serce, w kark albo w tył głowy. Dlaczego najpierw strzeliłem mu w dół pleców? Czyżbym chciał go o coś spytać? Może i tak, ale już o tym zapomniałem. Albo wydało mi się to nieistotne. Z bliska wcale nie wyglądał inaczej. Hiena. Strzeliłem mu w twarz. Hiena z zakrwawionym pyskiem.

Nagle zauważyłem wystającą ponad drewnianym płótem głowę chłopca. Miał grudki śniegu na wełnianych rękawiczkach i czapce. Może próbował ulepić bałwana. To niełatwe przy tak świeżym puchu. Wszystko się wali, rozsypuje w palcach.

– On nie żyje? – spytał chłopiec, patrząc na trupa. Pewnie zabrzmiało to dziwnie, że nazywa się kogoś trupem już w kilka sekund po śmierci, ale ja zawsze tak o nich myślę.

– To był twój ojciec? – spytałem.

Chłopiec pokręcił głową.

Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Czy dlatego, że chłopiec wydawał się taki spokojny? No owszem, wiem dlaczego. Sam bym tak zareagował.

– On mieszka tam. – Chłopiec wskazał ręką w rękawiczkę i zaczął ssać grudkę śniegu przyklepioną do tej drugiej, nie odrywając wzroku od ciała.

– Nie przyjdę tutaj, żeby cię porwać – powiedziałem.  
– Ale zapomnij, jak wyglądam. W porządku?



– Aha. – Jego policzki napinały się i rozluźniały przy cmokaniu śnieżnej grudki, jak u niemowlęcia przyssanego do piersi.

Odwróciłem się i odszedłem tą samą drogą, którą tu przybyłem. Wytarłem rękojeść pistoletu i wrzuciłem go do kratki ściekowej, która wyłoniła się spod cienkiej warstwy śniegu. Pistolet zostanie odnaleziony, ale przez policję, a nie przez jakichś nieostrożnych chłopaczków. Po likwidacji nie wsiadałem w tramwaj, autobus czy taksówkę, to było zabronione. Zwyczajny, dość szybki krok. A jeśli pojawiłyby się radiowozy, to należało zawrócić i iść w s t r o n ę miejsca zdarzenia. Dotarłem prawie do Majorstua, kiedy w końcu usłyszałem syrenę.

## 6

Zaledwie kilka tygodni wcześniej jak zwykle po zamknięciu delikatesów czekałem na parkingu ukryty za kontenerami na śmieci. Usłyszałem miękki dźwięk otwierających się drzwi, które zaraz się zatrzasnęły. Kroki Marii łatwo poznać po utykaniu. Odczekałem chwilę i ruszyłem w tę samą stronę. W mojej opinii nie chodzę za nią. To oczywiście ona decyduje o tym, dokąd idziemy, a tego dnia nie wybieraliśmy się wcale prosto do kolejki. Zajrzeliśmy do kwiaciarni, a potem poszliśmy na cmentarz przy kościele Vestre Aker. Nikogo tam nie było, więc zaczekałem na zewnątrz, żeby mnie nie zobaczyła. Kiedy wyszła, nie niosła już żółtych kwiatów. Ruszyła w dół Kirkeveien w stronę stacji, a ja wszedłem na cmentarz. Znalazłem kwiaty na świeżym, ale już zamarzniętym grobie. Kamienny nagrobek, błyszczący i ładny. Znajome, francusko brzmiące nazwisko. To był on. Ten jej ćpun. Nie dotarło do mnie, że umarł. Najwyraźniej nikt inny też tego nie zauważył, w każdym razie na nagrobku nie było dokładnej daty śmierci, tylko miesiąc. Październik. Sądziłem, że zwykle wymyślają konkretny dzień, jeśli nie ma pewności. Żeby to nie wyglądało na taką samotność. Żeby mniej samotnie leżało się tu, w ścisku, na przysypanym śniegiem cmentarzu.

W drodze do domu pomyślałem sobie, że mogę już przestać za nią chodzić. Była bezpieczna. Miałem nadzieję, że to czuje. Miałem nadzieję, że on, ten jej ćpun, stał za nią w wagonie i szeptał: „Nie wrócę, żeby cię porwać, ale zapomnij, jak wyglądam”. Tak, właśnie taką miałem nadzieję. Postanowiłem, że nie będę więcej za nią chodził. Jej życie mogło się teraz zacząć.

Przed budką telefoniczną na Bogstadveien wziąłem głęboki oddech.

Moje życie także się teraz zaczynało, od tej rozmowy. Musiałem otrzymać ułaskawienie od Daniela Hoffmanna. To był początek. Reszta wydawała się bardziej niepewna.

– Załatwione – oznajmiłem.

– Świetnie. Została wyekspediowana?

– Nie ona, *sir*. On.

– Słucham?

– Wyekspediowałem tak zwanego kochanka. – Przez telefon zawsze używamy określenia „wyekspediować”, na wypadek gdyby ktoś nas słyszał lub podsłuchiwał. – Więcej go pan nie zobaczy, *sir*. Zresztą oni właściwie nie byli kochankami. On ją zmuszał. Jestem przekonany, że wcale go nie kochała, *sir*.

Mówiłem szybko, szybciej niż zazwyczaj, a po mojej przemowie nastąpiła długa chwila przerwy. Słyszałem, że Daniel Hoffmann ciężko oddycha przez nos. Wydaje mi się, że można to było nawet nazwać parskaniem.

– Ty... ty zabiłeś Benjamina?

Już w tej chwili wiedziałem, że nie powinienem być dzwonić.

– Ty... ty uśmierciłeś mojego jedyne... syna?

Mój mózg rejestrował i odczytywał fale dźwiękowe. Tłumaczył je na słowa, które następnie zaczynał analizować. Syn. Czy to możliwe? Pojawiła się jakaś myśl. Sposób, w jaki kochanek zrzucił buty. Robił to tak, jakby przychodził tam już wiele razy. Jakby tam mieszkał.

Rozłączyłem się.

Corina Hoffmann wpatrywała się we mnie przerażona. Miała na sobie inną sukienkę, włosy jeszcze jej nie wyschły. Było kwadrans po piątej, a ona, tak jak we wszystkie pozostałe dni, przed powrotem męża do domu spłukała z siebie pod prysznicem zapach zmarłego.

Właśnie jej powiedziałem, że dostałem na nią zlecenie.

Próbowała zatrzaskać drzwi, ale byłem szybszy. Wsunąłem nogę między drzwi a futrynę i pchnąłem. Corina zatoczyła się do tyłu, aż do oświetlonego salonu. Chwyciła się długiego krzesła. Jak aktorka na scenie, która pieści rekwizyt.

– Bardzo proszę... – zaczęła, zasłaniając się ręką. Coś błysnęło. Duży pierścionek z kamieniem. Nie widziałem go wcześniej.

Podszedłem o krok bliżej.

Zaczęła głośno krzyczeć jak szalona. Złapała lampę ze stołu i rzuciła się na mnie. Byłem tak zaskoczony atakiem, że ledwie zdołałem się uchylić przed tym obłądnym ciosem. Siła, jaką w niego włożyła, i ciężar lampy sprawiły, że straciła równowagę, ale ją złapałem. Poczułem pod palcami lepką skórę i ciężki zapach. Ciekawe, w czym się kąpała. W samej sobie? Trzymałem ją mocno, czułem, jak chwyta i wypuszcza powietrze. Dobry Boże, tak chciałem ją pojąć, już, w tej chwili, ale przecież nie byłem taki jak on. Jak oni.

– Nie przyszedłem tu, żeby cię zabić, Corino – szepnąłem jej we włosy. Chłonałem jej zapach, to było jak palenie opium. Czułem się znieczulony, a jednocześnie wszystkie zmysły mi drżały.

– Daniel wie, że miałaś kochanka. Benjamina. On już nie żyje.

– Benjamin? Benjamin nie żyje?

– Tak. A jeśli będziesz tutaj, kiedy Daniel wróci, zabije również ciebie. Musisz iść ze mną, Corino.

Zamrugła zdezorientowana.

– Ale dokąd?

To było zaskakujące pytanie. Bardziej spodziewałbym się „dlaczego”, „kim jesteś” albo „kłamiesz”. Ale może instynktownie wyczuła, że mówię prawdę, że trzeba się spieszyć, dlatego od razu przeszła do sedna. A może po prostu była tak oszołomiona i zagubiona, że z ust wyrwała jej się pierwsza lepsza myśl. Dokąd.

– Do pokoju za pokojem.



## 7

Siedziała zwinięta w kłębek na jedynym fotelu w moim mieszkaniu i wpatrywała się we mnie.

Teraz była jeszcze piękniejsza, wystraszona, osamotniona, bezbronna. Zależna.

Wyjaśniłem jej – niepotrzebnie – że moim mieszkaniem nie ma co się chwalić, to zwykła kawalerka, pokój z wnęką sypialną, czysta i porządna, ale nic, co nadawałoby się dla takiej kobiety jak ona. Dodałem jednak, że mieszkanie ma jedną wielką zaletę: nikt o nim nie wie. A konkretnie: nikt – dosłownie n i k t – nie wiedział, gdzie mieszkam.

– Dlaczego? – spytała i jakby uchwyciła się filiżanki, którą jej podałem.

Poprosiła o herbatę, ale odparłem, że herbata będzie jutro, przyniosę, kiedy tylko otworzą sklepy. Powiedziałem, że wiem, że lubi pić rano herbatę, że obserwowałem, jak pije swoją poranną herbatę, codziennie przez pięć ostatnich dni.

– Kiedy się wykonuje ten rodzaj pracy co ja, lepiej żeby nikt nie znał twojego adresu.

– Ale teraz ja go znam.

– Tak.

Piliśmy kawę w milczeniu.

– Czy to oznacza, że nie masz żadnych przyjaciół ani

krewnych? – spytała.

– Mam matkę.

– Która nie wie...

– Nie.

– I oczywiście nie wie też, w czym pracujesz.

– Nie.

– A powiedziałaś jej, że niby czym się zajmujesz?

– Ekspediowaniem.

– W sklepie?

Przyjrzałem się Corinie Hoffmann. Naprawdę ją to interesowało czy tylko tak plotła?

– Tak.

– No proszę.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, skrzyżowała ręce na piersi. Podkręciłem piecyk na full, ale przy pojedynczych oknach i temperaturach sięgających minus dwadzieścia od ponad tygodnia chłód wygrywał. Obracałem filiżankę w palcach.

– Co zrobisz, Olav?

Wstałem z kuchennego krzesła.

– Poszukam dla ciebie jakiegoś koca.

– Miałam na myśli „co zrobimy”.

Była zdrowa. To oznaka zdrowia, jeśli się zostawia to, na co nic nie można poradzić, i idzie się dalej. Chciałbym to umieć.

– On będzie mnie ścigał, Olav. Nas. Nie możemy się tu ukrywać przez całą wieczność. A on nie przestanie szukać. Ja go znam, uwierz mi. Będzie wolał umrzeć,



niż żyć w takiej hańbie.

Nie zadałem wtedy oczywistego pytania: „Więc dlaczego wzięłaś sobie za kochanka jego syna?”.

Zadałem to mniej oczywiste:

– Z powodu hańby? Nie dlatego, że cię kocha?

Pokręciła głową.

– To skomplikowane.

– Mamy czas – odpowiedziałem. – Jak widzisz, tu nie ma telewizora.

Roześmiała się. Ciągle jeszcze nie przyniosłem jej koca. Ani nie zadałem tego pytania, które z jakiegoś powodu paliło w ustach jak żółć: „Ale czy ty go kochałaś, tego syna?”.

– Posłuchaj, Olav.

– Tak?

Zniżyła głos:

– Dlaczego to robisz?

Wziąłem głęboki oddech. Przygotowałem sobie odpowiedź na to pytanie. Prawdę mówiąc, kilka odpowiedzi, na wypadek gdybym poczuł, że ta pierwsza nie działa. W każdym razie wydawało mi się, że przygotowałem. Wszystkie wyleciały mi z głowy jak zdmuchnięte.

– Bo to jest złe – powiedziałem.

– Co jest złe?

– To, co on robi. To, że chce zabić żonę.

– A jak ty byś postąpił, gdyby twoja żona spotykała się z innym mężczyzną w twoim własnym domu?

Milczałem.

– Wydaje mi się, że masz dobre serce, Olav.

– Dobre serca można dzisiaj kupić z przeceny.

– Nie, to nieprawda. Dobre serce to rzadkość. I zawsze jest pożądane. Ty sam też jesteś rzadkością, Olav.

– Akurat tego nie wiem.

Ziewnęła i przeciągnęła się. Jak kot, jakby nie miała stawów. Koty prawie nie mają obojczyków, dzięki czemu mogą przecisnąć ciało przez każdą dziurę, przez którą są zdolne przesadzić głowę. Praktyczne rozwiązanie przy polowaniu. Praktyczne przy ucieczce.

– Jeśli znajdziesz ten koc, to chyba się prześpię – stwierdziła. – To był nieco zbyt emocjonujący dzień.

– Zmienię pościel na łóżku i zaraz się położysz – oświadczyłem. – Z kanapą przyjaźnię się od dawna.

– Tak? – Uśmiechnęła się, mrużąc wielkie niebieskie oko. – Czy to znaczy, że jednak nie jestem pierwszą osobą, która tu nocuje?

– Jesteś pierwsza. Ale zdarza mi się czytać na kanapie i zasnąć.

– Co czytać?

– Nic specjalnego. Książki.

– Książki? – Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się szelmowsko, jakby przyłapała mnie na kłamstwie. – Widzę tu tylko jedną książkę.

– Biblioteka. Książki zajmują miejsce. Poza tym staram się to ukrócić.

Sięgnęła po tom leżący na niskim stoliku.

– *Nędznicy*? O czym to jest?

– Wydaje mi się, że o różnych rzeczach.

Uniosła brew.

– Głównie o mężczyźnie, któremu wybaczone popełnione przez niego przestępstwa. Przez resztę życia odpłaca się, starając się być dobrym człowiekiem.

– Hm. – Zważyła książkę w rękę. – Ciężka – stwierdziła. – A jest w niej o miłości?

– Tak.

Odłożyła książkę.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie, co zrobimy, Olav.

– Mogę ci powiedzieć, co musimy zrobić. Musimy zlikwidować Daniela Hoffmanna, zanim on zlikwiduje nas.

Zdanie to brzmiało idiotycznie, kiedy układałem je w głowie. I równie idiotycznie zabrzmiało, gdy wymówiłem je na głos.

## 8

Następnego dnia rano poszedłem do pensjonatu. Oba pokoje, których okna wychodziły na mieszkanie Hoffmanna, zostały już wynajęte. Stałem więc na zewnątrz w porannym mroku, skryty za zaparkowaną ciężarówką, i zacząłem się wpatrywać w jego salon. Czekałem. Ścisnąłem pistolet w kieszeni płaszcza. Normalnie Hoffmann wyszedłby już z domu do pracy. Ale nic nie było normalnie. Chociaż światło się paliło, nie mogłem się zorientować, czy na górze ktoś jest. Zakładałem, że Hoffmann domyślił się, że nie zabrałem Coriny i nie uciekliśmy razem do jakiegoś hotelu w Kopenhadze albo Amsterdamie. Po pierwsze, to nie w moim stylu, a po drugie, nie miałem pieniędzy, o czym Hoffmann wiedział. Musiałem prosić o zaliczkę na pokrycie wydatków. Spytał, dlaczego jestem spłukany, przecież dopiero co mi zapłacił za dwie roboty. Mruknąłem tylko coś o starej zabawie.

Jeśli więc Hoffmann liczył, że zostałem w mieście, to liczył się również z tym, że będę próbował go dopaść, zanim on dopadnie mnie. Nieźle się z czasem poznaliśmy. Ale to, co ci się wydaje, że wiesz o ludziach, to jedna rzecz, a wiedzieć naprawdę – to zupełnie inna. A mnie już wcześniej zdarzało się pomylić. Może był na górze sam. W takim razie nie trafi

mi się lepsza szansa niż w chwili, gdy będzie wychodził z mieszkania. Wtedy wystarczy poczekać, aż drzwi wejściowe zatrzasną się za nim, żeby nie mógł zawrócić, potem tylko przejść przez ulicę, dwa strzały w tors z odległości pięciu metrów i kolejne dwa w głowę, już z bliska.

Za dużo szczęścia.

Drzwi się otworzyły. To był on.

A także Brynhildsen i Pine. Brynhildsen z tupecikiem przypominającym psie futro i okalającymi usta cieniutkimi wąsikami wyglądającymi jak bramka do krokieta. Pine w karmelowobrazowej skórzanej kurtce, którą nosił na okrągło, latem i zimą. W kapelusiku, z papierosem za uchem i niezamykającą się gębą. Na ulicę popłynęły oderwane słowa. „Piekielne zimno” i „ten diabeł”.

Hoffmann został za progiem, a jego dwa psy wyszły na chodnik i rozejrzały się po ulicy, cały czas trzymając ręce głęboko zanurzone w kieszeniach.

W końcu skinęli na Hoffmanna i ruszyli do samochodu.

Zgarbiłem się i poszedłem w przeciwną stronę. No i dobrze. Tak jak mówiłem, to by było za dużo szczęścia. A teraz przynajmniej wiedziałem, że on wie, w jaki sposób wyobrażam sobie rozwiązanie przez nas tej sprawy. Że wyobrażam sobie, że to on umrze, a nie ja.

Wszystko jedno. To oznaczało, że muszę przejść

do planu A.

Powodem, dla którego zacząłem od planu B, było to, że w planie A nie podobał mi się żaden element.

## 9

Lubię oglądać filmy. Nie aż tak bardzo, jak czytać książki, ale dobry film pełni w pewnej mierze tę samą funkcję. Skłania człowieka do innego spojrzenia na rzeczy. Jednak żaden film nie zdołał skłonić mnie do innego spojrzenia na zaletę, jaką stanowi przewaga liczebna i posiadanie cięższej broni. Podczas walki jednego człowieka z kilkoma, przy założeniu, że obie strony są mniej więcej podobnie przygotowane i uzbrojone, zginie ten, który jest sam. W walce, w której tylko jedna strona dysponuje bronią automatyczną, to ona wygra. Wynika to z doświadczenia na tyle drogo okupionego, że nie zamierzałem udawać, iż wcale tak nie jest, tylko dlatego, żeby nie iść do Rybaka. Jest właśnie tak. I dlatego poszedłem do Rybaka.

Jak już wspominałem, Rybak i Daniel Hoffmann zarządzili rynkiem heroiny w Oslo. Rynek ten nie imponował wielkością, lecz ponieważ heroina była narkotykiem dominującym, klienci wypłacalni, a ceny wysokie, działalność przynosiła ogromne zyski. Wszystko to zaczęło się od Rosyjskiego Szlaku. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych tworzyli go Rosjanie i Hoffmann, większość heroiny w Norwegii pochodziła ze Złotego Trójkąta i docierała przez Turcję

i Jugosławię tak zwanym Szlakiem Bałkańskim. Pine opowiadał mi, a pracował przecież jako alfons u Hoffmanna, że dziewięćdziesiąt procent dziwek brało heroinę, dla większości z nich działka stanowiła równie dobrą walutę jak norweskie korony. Hoffmann doszedł więc do wniosku, że jeśli zdobędzie tanią heroinę, to tym samym zwiększy dochody z usług seksualnych.

Pomysł znalezienia taniego narkotyku zrodził się nie na Południu, tylko na Północy. Na malutkiej, właściwie nienadającej się do zamieszkania polarnej wyspie w archipelagu Svalbard, podzielonej między Norwęgii a ZSRR. Oba te kraje mają swoje kopalnie węgla na przeciwnych krańcach wyspy. Żyje się tam ciężko i monotennie, a do Hoffmanna dotarły przerażające opowieści norweskich górników o tym, jak ci po radzieckiej stronie ratują się przed codziennością wódką, heroiną i rosyjską ruletką. Hoffmann wybrał się więc na północ w odwiedzinach do Rosjan i wrócił do domu z zawartą umową. Okazało się, że surowe opium przewożono z Afganistanu do Związku Radzieckiego, gdzie je uszlachetniano, przerabiając na heroinę, a następnie transportowano dalej na północ do Archangielska i Murmańska. Przerzucenie narkotyku stamtąd do Norwegii byłoby niemożliwe, ponieważ komuniści zbyt pilnie strzegli granicy z krajem NATO i *vice versa*. Ale na Svalbardzie granicy pilnują jedynie niedźwiedzie polarne i czterdziestostopniowe mrozy, więc przemyt nie stanowił najmniejszego problemu.



Człowiek Hoffmanna po stronie norweskiej wysłał narkotyki krajowym samolotem do Tromsø, gdzie nigdy nie sprawdzano żadnej walizki, chociaż wszyscy wiedzieli, że górnicy wiadrami przewożą tani nieopodatkowany alkohol. Najwyraźniej jednak nawet władze celne przymykały oko, chcąc zapewnić spracowanym górnikom choć trochę przyjemności. Oczywiście znaleźli się i tacy, którzy później twierdzili, iż naiwnością było sądzić, że tyle heroiny można przetrześć do kraju i dalej transportować do Oslo skomunikowanymi ze sobą samolotami, pociągami i samochodami bez niczyjej wiedzy. Że jednak do rąk funkcjonariuszy publicznych musiały trafiać jakieś koperty.

Ale według Hoffmanna nie wydano na to ani korony. Nie było takiej konieczności. Policja nie miała pojęcia, co się dzieje, aż do czasu, gdy po norweskiej stronie pod miastem Longyearbyen znaleziono porzucony skuter śnieżny. Resztki kierowcy pozostawione przez niedźwiedzie okazały się rosyjskie, a zbiornik na paliwo zawierał plastikowe torebki z czystą heroiną o łącznej wadze czterech kilogramów.

Operację wstrzymano. Policja i ludzie gubernatora zaczęli krążyć po okolicy jak rozwścieczone osy. W Oslo wybuchła panika heroinowa. Ale chciwość jest jak woda z topniejącego śniegu: kiedy zamknie się jej jedną drogę, wynajduje sobie następną. Rybak – który zajmował się wieloma różnymi rzeczami, ale przede

wszystkim był biznesmenem – sformułował to następująco: „Niezaspokojony popyt skutkuje zaspokojeniem”.

Ten wesoły, opasły mężczyzna z wąsami morsa kojarzył się ze Świętym Mikołajem aż do chwili, gdy z korzyścią dla jego interesów było rozplątanie komuś brzucha nożem do filetowania ryb. Przez kilka lat szmuglował rosyjski alkohol, przywożony przez rosyjskie kutry rybackie, przierzucany na kutry norweskie na Morzu Barentsa i wyładowywany w opuszczonej wiosce rybackiej, którą Rybak nie tylko prowadził, lecz również był w niej właścicielem wszystkiego.

Tam butelki układano w skrzynkach na ryby i przewożono do stolicy samochodem do transportu ryb, w którym znajdowały się również ryby. W Oslo butelki składowano w piwnicy sklepu Rybaka, który nie był żadną przykrywką, lecz sklepem rybnym, pozostającym własnością rodziny od trzech pokoleń, niedającym wielkich zysków, ale też i nieprzynoszącym wielkich strat.

A gdy Rosjanie spytali, czy nie chciałby pomyśleć o zamianie wódki na heroinę, Rybak dokonał rachunków. Przemnożył zyski przez wysokość kar, podzielił je przez prawdopodobieństwo złapania i wszedł w ten interes. Kiedy więc Daniel Hoffmann ponownie uruchomił szlak svalbardzki, odkrył, że ma konkurencję. I bardzo mu to było nie w smak.

Właśnie w tym miejscu do gry wszedłem ja.

W tym czasie – jak już to relacjonowałem – miałem za sobą dość nieudaną karierę przestępczą. Odsiedziałem napad na bank, pracowałem u Hoffmanna jako alfons wspomagający Pinego, zostałem wylany i rozglądałem się za jakąś sensowniejszą robotą. Znów skontaktowałem się ze mną Hoffmann, ponieważ z pewnych źródeł wiedział, że to ja wyekspediowałem na tamten świat przemytnika, którego znaleziono w porcie w Halden jedynie z częściowo nietkniętą głową. Zabójstwo na zlecenie, z rodzaju tych najbardziej profesjonalnych, chwalił mnie Hoffmann. A ponieważ nie miałem lepszej opinii, o którą należałoby dbać, nie zaprzeczałem.

Pierwsze zlecenie dostałem na pewnego bergeńczyka, który sprzedawał na ulicy dla Hoffmanna, ale miał lepkie ręce, nie przyznał się do tego i zaczął pracować dla Rybaka. Łatwo go było znaleźć, bo bergeńczycy mówią głośniejszą niż Norwegowie z innych rejonów kraju, więc charakterystyczne bergeńskie „r” rozdzierało ciszę nocną w okolicach placu przed dworcem w Oslo, na którym handlował. Pokazałem mu pistolet i charakterystyczne bergeńskie „r” nagle ucichło. Mówi się, że drugie zabójstwo jest łatwiejsze. Przypuszczam, że to prawda. Zabrałem faceta do portu kontenerowego i strzeliłem mu dwa razy w głowę, żeby wyglądało na likwidację taką jak tamta w Halden. Ponieważ w sprawie z Halden policja już kogoś

podejrzewała, od pierwszego dnia utknęła w ślepym zaułku i nigdy nawet nie zaczęła dyszeć mi w kark. Natomiast potwierdziło się to, co Hoffmann o mnie myślał, a mianowicie, że jestem *primo liquidatore*, więc dał mi kolejne zlecenie.

Tym razem był to gość, który zadzwonił do Hoffmanna i oświadczył, że woli dilować dla niego niż dla Rybaka. Chciał się spotkać w jakimś dyskretnym miejscu, aby mogli ustalić szczegóły poza wiedzą i czujnym okiem jego szefa. Twierdził, że nie może już znieść smrodu ryb. Najwyraźniej powinien był trochę dłużej popracować nad tą bajeczką. Hoffmann skontaktował się ze mną i powiedział, że jego zdaniem facet dostał od Rybaka zlecenie na niego.

Dzień później wieczorem czekałem na tego gościa na szczycie wzgórza w parku St. Hanshaugen. To miejsce, gdzie wszystko widać jak na dłoni. Niektórzy twierdzą, że dawniej składano tam ofiary i że tam straszy. Moja matka mówiła, że drukarze gotowali tam kiedyś farbę drukarską. Ja wiem tylko, że to miejsce, w którym kiedyś palono miejskie śmieci. Na ten wieczór prognozowano minus dwanaście, wiedziałem więc, że będziemy sami. Za dziesięć dziewięta długim zboczem w kierunku stojącego na górze domu z wieżyczką zaczął podchodzić jakiś facet. Mimo mrozu po dotarciu na szczyt miał czoło złane potem.

– Wcześniej przychodzisz – stwierdziłem.

– A ty kim jesteś? – spytał i otarł pot szalikiem. –

I gdzie Hoffmann?

Po broń sięgnęliśmy równocześnie, ale byłem szybszy. Trafiłem go w pierś i w ramię tuż nad łokciem. Wypuścił pistolet z ręki i poleciał do tyłu. Leżał na śniegu i mrugał, patrząc na mnie.

Przystawiłem mu lufę do piersi.

– Ile ci zapłacił?

– Dwa... dwadzieścia tysięcy.

– I twoim zdaniem to ma wystarczyć za zabicie człowieka?

Otworzył i zamknął usta.

– I tak cię zabiję, więc nie musisz wymyślać żadnej mądrej odpowiedzi.

– Mamy czwórkę dzieciaków, a mieszkamy w dwóch pokojach z kuchnią.

– No to mam nadzieję, że dał ci zaliczkę – powiedziałem i nacisnąłem spust.

Jęknął, ale dalej mrugał. Spojrzałem na dwie dziury w jego płaszczu na wysokości piersi. Potem szarpnąłem poły, aż odskoczyły guziki.

Był w zbroi. Nie w kuloodpornej kamizelce, tylko w pieprzonej żelaznej kolczudze – takiej, jakiej używali wikingowie. Przynajmniej na rysunkach w *Sagach królewskich* Snorrego, książce, którą czytałem jako chłopiec tyle razy, że biblioteka w końcu odmówiła mi dalszych wypożyczeń.

Żelazo. Nic dziwnego, że facet tak się spocił, idąc pod górkę.

– Co to jest, do cholery?

– Żona mi zrobiła. Na *Spektakl o świętym Olafie*<sup>[1]</sup>.

Przeciagnałem koniuszkami palców po maleńkich metalowych ogniwkach splecionych ze sobą. Ile mogło ich być? Dwadzieścia tysięcy? Czterdzieści?

– Nie pozwala mi bez tego wychodzić – dodał.

Kolczuga do przedstawienia o zabójstwie świętego króla.

Przyłożyłem mu pistolet do czoła.

– „Zabij psa, którego nie ima się żelazo”.

– Snorre – szepnął. – Święty Olav podczas bitwy pod Stik...

– Owszem – przerwałem mu i nacisnąłem spust.

W portfelu miał pięćdziesiąt koron, zdjęcie żony z dziećmi i prawo jazdy z nazwiskiem i adresem.

Bergeńczyk i facet w kolczudze. Plus ten na nabrzeżu niedawno. Trzy powody, żeby trzymać się z dala od Rybaka.

Następnego dnia rano poszedłem do jego sklepu.

\*

Sklep rybny Eilertsen i Syn mieścił się przy Youngstorget, zaledwie o rzut kamieniem od głównej komendy policji przy Møllergata 19. Podobno kiedy Rybak handlował przemycanym alkoholem, policjanci zaliczali się do jego najlepszych klientów.

Zgięty wpół, żeby stawić czoło porywistemu

lodowatemu wiatrowi, przedarłem się przez rozległy brukowany plac. Ledwie zdążyli otworzyć sklep, a mimo to w środku już było sporo ludzi.

Zdarzało się, że Rybak osobiście stawał za ladą, lecz nie tym razem. Sprzedawczynie dalej obsługiwały klientów, ale młody mężczyzna – po spojrzeniu, jakim mnie obrzucił, domyśliłem się, że ma też inne obowiązki niż tylko krojenie, ważenie i pakowanie ryb – zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Wkrótce do sklepu wszedł szef. Rybak. Cały w bieli, od stóp do głów. Fartuch, czapka. Nawet białe drewniaki. Jak jakiś pieprzony kąpielowy. Okrążył ladę i zbliżył się do mnie. Wytarł palce w fartuch opinający wydatny brzuch. Skinieniem głowy wskazał wahadłowe drzwi, wciąż kołyszące się na zawiasach. Za każdym razem, gdy robiła się w nich szpara, dostrzegałem znajomą, chudą jak szczapa postać. To był Klein. Nie wiem, czy to przezwisko należało rozumieć po niemiecku, w znaczeniu „mały”, czy po norwesku – „chory”. A może tak się po prostu nazywał? Albo wszystkie trzy rzeczy naraz. Za każdym uchyleniem drzwi moje oczy napotykały jego spojrzenie. Martwe, czarne jak węgiel. Dostrzegłem również obrzyna zwisającego mu przy nodze.

– W dalszym ciągu nie wkładaj rąk do kieszeni – powiedział Rybak ze swoim uśmiechem Świętego Mikołaja – to może wyjdiesz stąd żywy.

Pokiwałem głową.

– Mamy dużo roboty z zamówieniami na świątecznego dorsza, chłopcze, więc mów, czego chcesz, i idź do diabła.

– Mogę panu pomóc w pozbyciu się konkurencji.

– Ty?

– Tak. Ja.

– Nie sądziłem, że należysz do gatunku zdrajców, chłopcze.

Zwracał się do mnie „chłopcze”, zamiast używać mojego imienia, więc albo imienia nie znał, albo nie chciał okazać mi szacunku, lub też nie widział powodu, żeby mi pokazać, ile tak naprawdę – jeżeli w ogóle cokolwiek – o mnie wie. Skłaniałem się ku temu ostatniemu.

– Możemy to omówić na zapleczu? – spytałem.

– Tutaj jest w porządku, nikt nas nie słucha.

– Przypadkiem zastrzeliłem syna Hoffmanna.

Rybak zmrużył jedno oko, drugim wpatrując się we mnie. Długo. Klienci wołali: „Wesołych świąt”, a kiedy wychodzili, do rozgrzanego lokalu wdzierał się zimny powiew.

– No to jednak pogadamy na zapleczu – stwierdził Rybak.

Trzech zlikwidowanych ludzi. Cholera, trzeba być naprawdę zimnym biznesmenem, by nie żywić urazy do kogoś, kto zlikwidował trzech twoich ludzi. Pozostawało mi jedynie mieć nadzieję, że moja propozycja okaże się dostatecznie interesująca, a Rybak



na tyle zimny, na ile go oceniałem. Za diabła nie wierzę, żeby nie wiedział, jak mi na imię.

Usiadłem przy poznanym śladami nacięć drewnianym stole. Na podłodze stały ustawione jedna na drugiej styropianowe skrzynki wypełnione lodem, mrożonymi rybami i – jeśli logistyka rzeczywiście wyglądała tak, jak twierdził Hoffmann – heroiną. W pomieszczeniu nie mogło być więcej niż pięć – sześć stopni. Klein nie siadał, a podczas mojej opowieści zdawał się w ogóle nie myśleć o tym, że trzyma w rękach tę swoją paskudną strzelbę, chociaż jej lufa nawet przez chwilę nie celowała w nic innego niż ja. Przedstawiłem przebieg wydarzeń, nie kłamiąc, ale też i nie wdając się w zbędne szczegóły.

Kiedy skończyłem mówić, Rybak ciągle wpatrywał się we mnie tym cholernym cyklopowym okiem.

– Więc po prostu zastrześliłeś jego syna zamiast żony?

– Nie wiedziałem, że to jego syn.

– A ty co o tym myślisz, Klein?

Klein wzruszył ramionami.

– W gazecie pisali o jakimś facecie, którego wczoraj ktoś zastrzelił na Vinderen.

– Widziałem. A może Hoffmann i jego likwidator wykorzystali tę historię z gazety, żeby wymyślić coś, na co ich zdaniem na pewno się złapiemy?

– Zadzwońcie na policję i spytajcie, jak się nazywa – poradziłem.

– Na pewno zadzwonimy – odparł Rybak. – Ale

dopiero po tym, jak wyjaśnisz, dlaczego oszczędziłeś żonę Hoffmanna, a teraz ją ukrywasz.

– To moja sprawa – oświadczyłem.

– Jeśli planujesz wyjść stąd żywy, powinieneś wyspiawać wszystko, i to szybko.

– Hoffmann ją lał – powiedziałem.

– Który?

– Obaj – skłamałem.

– I co z tego? Nawet jeśli ktoś dostaje lanie od silniejszego, to wcale nie oznacza, że na nie nie zasłużył.

– Szczególnie taka dziwka – wtrącił Klein.

– Ojoj! – roześmiał się Rybak. – Spójrz tylko na te oczy, Klein! Chłopiec ma ochotę cię zamordować! Coś mi się widzi, że się zakochał.

– W porządku – skwitował Klein. – Ja też mam ochotę go zamordować. To on załatwił Mao.

Nie miałem pojęcia, którym z tych trzech był Mao. W prawie jazdy tego z St. Hanshaugen było napisane Mauritz, więc może to ten.

– Święteczny dorsz czeka – przypomniałem. – Więc jak będzie?

Rybak pociągnął się za koniuszek swojego wąsa jak u morsa. Ciekaw byłem, czy kiedykolwiek udaje mu się do końca zmyć z siebie rybi zapach. Wstał.

– *What loneliness is more lonely than distrust?* Wiesz, co to znaczy, chłopcze?

Pokręciłem głową.

– No tak, mówił nam o tym ten bergeńczyk, który przeszedł do nas. Że jesteś zbyt prosty, żeby Hoffmann mógł cię wykorzystać jako dilera. Twierdził, że nie potrafisz dodać dwa do dwóch.

Klein się roześmiał. Nie odpowiedziałem.

– To T.S. Eliot, chłopaki – westchnął Rybak. – Samotność nieufnego. Uwierzcie mi, ten rodzaj samotności prędzej czy później zaczyna doskwierać wszystkim szefom. Co najmniej raz w życiu dokucza ona wszystkim mężom. Ale na ogół większość ojców jej unika. Hoffmann miał okazję posmakować wszystkich trzech wariantów. Likwidator, żona i syn. Człowiekowi prawie się robi przykro. – Podeszedł do wahadłowych drzwi, przez bulaj zajrzał do sklepu. – No to czego potrzebujesz?

– Dwóch twoich najlepszych ludzi.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieli do dyspozycji całą armię.

– Hoffmann będzie przygotowany.

– Tak? A nie wydaje mu się, że to on poluje na ciebie?

– On mnie zna.

Rybak ciągnął się za wąsy, jakby usiłował je sobie wyrwać.

– Dostaniesz Kleina i Duńczyka.

– A może by tak Duńczyka i...

– Kleina i Duńczyka.

Skinąłem głową.

Rybak wyszedł za mną do sklepu. Zatrzymałem się

przed drzwiami, starłem parę z szyby.

Przy Pasażu Operowym ktoś stał. Wcześniej go tu nie było. Mogły istnieć setki powodów, dla których jakiś facet sterczał tu i czekał, mimo śnieżycy.

– Masz jakiś numer telefonu, pod którym...

– Nie mam – uciałem. – Dam znać, kiedy i gdzie będę ich potrzebował. Jest tu jakieś tylne wyjście?

Idąc bocznymi uliczkami do domu, pomyślałem sobie, że odniosłem z tej wizyty sporo korzyści. Miałem do dyspozycji dwóch ludzi, uszedłem z życiem i nauczyłem się czegoś nowego. Że to T.S. Eliot napisał te słowa o samotności. A ja zawsze myślałem, że to ta kobieta. Jak ona się nazywała? George Eliot? *Hurt, he will never be hurt, he's made to hurt other people.* Nie żebym wierzył w poetów. W każdym razie nie bardziej niż w duchy.

## 10

Corina przygotowała prosty obiad z produktów, które kupiłem.

– Smaczne – powiedziałem po zjedzeniu. Wytarłem usta i nalałem wody do szklanek.

– Jak tu trafiłeś? – spytała.

– Jak tu trafiłem?

– Dlaczego... to robisz? Dlaczego na przykład nie zajmujesz się tym samym co twój ojciec? Zakładam, że on nie...

– On nie żyje. – Opróżniłem szklankę jednym łykiem. Obiad był odrobinę przesolony.

– Och, tak mi przykro, Olav.

– Niepotrzebnie. Nikomu innemu nie jest przykro.

– Zabawny jesteś – roześmiała się.

Była pierwszą osobą, która coś takiego o mnie powiedziała.

– Nastaw jakąś płytę.

Włączyłem Jima Reevesa.

– Masz staroświecki gust – stwierdziła.

– Nie mam zbyt wielu płyt.

– Nie tańczysz?

Pokręciłem głową.

– I nie masz piwa w lodówce?

– Napiałabyś się piwa?

Posłała mi szelmowski uśmiech, jakbym znów powiedział coś zabawnego.

– Usiądziemy na kanapie, Olav?

Sprzątnęła ze stołu, a ja w tym czasie zrobiłem kawę. Akurat to uważałem za przyjemne. Usiedliśmy na kanapie. Jim Reeves śpiewał, że cię kocha, ponieważ go rozumiesz. W ciągu dnia się ociepliło. Za oknem sypały się z nieba wielkie tłuste płatki śniegu.

Patrzyłem na nią. Jedna część mnie była tak cholernie spięta, że wołała raczej usiąść w fotelu. Druga miała ochotę objąć jej wąską talię i przyciągnąć do siebie. Całować te czerwone wargi. Gładzić lśniące włosy. Przyciągnąć ją do siebie jeszcze bliżej, jeszcze mocniej, żeby poczuć, jak wychodzi z niej powietrze, usłyszeć, jak próbuje je złapać, wypinając piersi i brzuch. Miałem w głowie słodycz.

Igła adaptera przesunęła się na środek płyty, uniosła i cofnęła. Winyl powoli przestał się obracać.

Z wysiłkiem przełknąłem ślinę. Chciałem unieść rękę. Położyć ją tam, gdzie bark przechodzi w szyję. Ale ręka mi się trzęsła. Zresztą nie tylko ręka. Cały się trząsałem, jak jakiś cholerny pacjent chory na gripę.

– Posłuchaj, Olav. – Corina wychyliła się do mnie. Czuję jej intensywny zapach, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy to aromat perfum, czy jej własny. Musiałem otworzyć usta, żeby zaczerpnąć więcej powietrza. Sięgnęła po książkę leżącą na stole.

– Byłbyś tak miły i trochę mi poczytał? W tym

miejscu, gdzie jest o miłości...

– Chętnie bym to zrobił – powiedziałem.

– No to czytaj – zamruczała, wciągając stopy pod siebie. Położyła mi rękę na ramieniu. – K o c h a m miłość.

– Ale nie mogę.

– Oczywiście, że możesz – roześmiała się i wsunęła mi otwartą książkę na kolana. – Nie wstydź się, Olav, czytaj! To tylko ja...

– Cierpię na ślepotę słowną.

Moja ostra wypowiedź przerwała jej w pół słowa. Zamrugła, jakbym ją uderzył. Cholera, sam się przestraszyłem.

– Przepraszam, Olav, ale... Powiedziałaś... Myślałam...

Urwała. Zapadła cisza. Żałowałem, że płyta się skończyła. Zamknąłem oczy.

– Ale i tak czytam – wyjaśniłem.

– Czytasz?

– Tak.

– Jak możesz czytać, skoro... nie widzisz słów?

– Widzę. Tylko czasami widzę źle. Dlatego muszę na nie spojrzeć jeszcze raz. – Otworzyłem oczy. Jej dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu.

– A skąd wiesz, że źle je zobaczyłeś?

– Z reguły dlatego, że litery układają się w słowa, które nie mają sensu. Ale czasami widzę zupełnie inne słowo i dopiero dużo później zaczynam rozumieć błąd. I zdarza się, że ta opowieść, którą miałem w głowie,

okazuje się zupełnie inna. Dzięki temu mam w pewnym sensie dwie opowieści w cenie jednej.

Roześmiała się. Głośno i dźwięcznie. Oczy rozbłyły jej w półmroku. Ja też się śmiałem. Nie pierwszy raz powiedziałem komuś, że cierpię na ślepotę słowną. Ale pierwszy raz ktoś mnie o nią dalej wypytywał. Pierwszy raz usiłowałem to wytłumaczyć komuś, kto nie był moją matką ani nauczycielem. Dłoń Coriny przesuwiała się po moim ramieniu. Jakby niezauważalnie. Czekałem na to. Czekałem, aż mnie puści. Ale jej ręka zamiast tego zsunęła się do mojej dłoni. Uścisnęła ją.

– Ty naprawdę jesteś zabawny, Olav. I taki dobry.

Za szybą śnieg zaczął się gromadzić na parapecie. Śniegowe kryształki zaczęły się jeden o drugi. Jak żelazne ogniwka w kolczudze.

– Wobec tego opowiadaj – rzuciła. – Opowiedz o miłości z tej książki.

– Hm – mruknąłem, patrząc na tom leżący na moich kolanach. Był otwarty na stronie, na której Jean Valjean opiekuje się umierającą ulicznicą. Zastanowiłem się. I opowiedziałem jej raczej o Kozecie i Mariuszu. I o Eponinie, młodej dziewczynie wychowanej na złodziejkę, beznadziejnie zakochanej w Mariuszu, która w końcu oddaje życie za miłość. Za cudzą miłość. Tym razem nie pomijałem żadnych szczegółów.

– Ach, jakie to fantastyczne! – zawołała Corina, kiedy skończyłem.

– Tak – potwierdziłem. – Eponina to...



– ...że Kozeta i Mariusz na koniec się połączyli.

Pokiwałem głową.

Corina znów uściśnęła mnie za rękę. Nie puszczała jej przez cały czas.

– Opowiedz mi o Rybaku.

Wzruszyłem ramionami.

– To biznesmen.

– Daniel twierdzi, że to morderca.

– Również.

– A co się stanie, kiedy Daniel już nie będzie żył?

– Nie masz się czego obawiać. Rybak nie zrobi ci nic złego.

– Chodzi mi o to, czy Rybak przejmie wszystko?

– Sądzę, że tak. Nie ma konkurentów. Chyba że ty zamierzasz... – Żartobliwie puściłem do niej oko.

Roześmiała się i szturchnęła mnie w bok.

Cholera, kto by przypuszczał, że mam w sobie komika.

– Dlaczego po prostu nie uciekniemy? – spytała. – We dwoje dalibyśmy sobie radę. Ja bym gotowała, a ty...

Dalszy ciąg zdania zawisł w powietrzu, jak most, którego inwestor zbankrutował.

– Chętnie bym z tobą uciekł, Corino, ale nie mam ani korony.

– Tak? A Daniel twierdzi, że dobrze płaci swoim ludziom. Zawsze powtarza, że lojalność trzeba sobie kupować.

– Wszystko wydałem.

– Na co? – Skinęła głową, ale nie na mnie, pewnie miała na myśli mieszkanie. Uważała, że niemożliwe, by ono albo cokolwiek w nim mogło kosztować majątek.

Wzruszyłem ramionami.

– Była taka jedna wdowa z czworgiem dzieci. Wdową została przeze mnie, więc... No cóż, w przypływie słabości włożyłem do koperty to, co obiecano jej mężowi za zlikwidowanie kogoś. No i okazało się, że to było wszystko, co mam. Nigdy nie sądziłem, że Rybak tak dobrze płaci.

Zrobiła niedowierzającą minę. Chyba nie jedną z tych sześciu uniwersalnych min Darwina, ale i tak zrozumiałem, co miała wyrażać.

– Ty... oddałeś wszystkie swoje pieniądze wdowie po człowieku, który miał kogoś z a b i ć?

Ja też, kiedy już to zrobiłem, uznałem, że to bardzo głupie. Chociaż dostałem coś w zamian. Ale kiedy Corina powiedziała to na głos, wydało mi się wręcz idiotyczne.

– A kogo on miał zabić?

– Nie pamiętam.

– Wiesz co, Olav? – Spojrzała na mnie.

Nie wiedziałem.

Dotknęła dłonią mojego policzka.

– Jesteś zupełnie, ale to zupełnie wyjątkowy.

Przesunęła spojrzeniem po mojej twarzy, chłonęła ją, kawałek po kawałku, jakby pożerała. Wiem, że to taki

moment, w którym człowiek powinien wiedzieć, powinien czytać w myślach tej drugiej osoby, poczuć to. Możliwe. Cierpię na ślepotę słowną, więc może dlatego. Moja matka twierdziła, że jestem pesymistą. To również możliwe. W każdym razie doznałem pozytywnego zaskoczenia, kiedy Corina Hoffmann nachyliła się i mnie pocałowała.

Kochaliśmy się. To nie przez skromność wybieram ten romantyczny i cnotliwy eufemizm zamiast bardziej bezpośredniego instrumentalnego słowa. Wybieram go dlatego, że „kochać się” jest po prostu trafniejsze. Jej usta były tuż przy moim uchu, słyszałem jej oddech. Obejmowałem ją z bezbrzeżną delikatnością, jak jeden z tych suszonych kwiatów, które czasami znajduję w książkach z biblioteki, tak delikatnych i kruchych, że rozsypują się w palcach, gdy tylko ich dotknę. Bałem się, że Corina zniknie. Regularnie musiałem unosić się na rękach, by się upewnić, że ona ciągle tu jest, że to wcale nie był tylko sen. Głaskałem ją leciutko jak piórkiem, miękko, żeby się nie zniszczyła. Wstrzymywałem się z wejściem w nią. Patrzyła na mnie zdumiona. Nie mogła wiedzieć, że czekam na właściwą sekundę. No i nadszedł ten moment stopienia się w jedno, ów ruch, który ktoś może uznałby za trywialny dla byłego alfonsa, lecz mnie jednak tak przytłoczył, że poczułem ściskanie w gardle. Corina wydała z siebie cichy, ale przeciągły jęk, kiedy powoli i ostrożnie się

w nią wsuwałem, szepcząc jej do ucha jakieś czułe głupoty. Przecież wyczuwałem jej niecierpliwość. Ale chciałem, żeby to trwało, chciałem, żeby to było ładne. Brałem ją więc jak na zwolnionym filmie, z wymuszonym opanowaniem. Jej biodra zaczęły się jednak pode mną poruszać niczym krótkie ostre fale, a biała skóra zdawała się jarzyć w ciemności. Miałem wrażenie, jakbym trzymał w rękach światło księżyca. Równie delikatne. Równie niesamowite.

– Zostań ze mną, kochany – usłyszałem jej oddech przy uchu. – Zostań ze mną, mój kochany, kochany Olav.

Zapaliłem papierosa. Ona spała. Śnieg przestał padać. Wiatr, który od pewnego czasu wygwizdywał w rynnie smutną melodię, spakował instrument. W pokoju słyhać było jedynie jej równy oddech. Nasłuchiwałem. Nic.

Było tak, jak sobie wymarzyłem. I nie wierzyłem, że tak może być. Czuję się tak zmęczony, że musiałem spać. I tak szczęśliwy, że nie chciałem. Bo gdybym zasnął, ten świat, świat, którego do tej pory nigdy nie kochałem, na pewien czas przestałby istnieć. A według tego tam Hume'a ów fakt, że do tej pory co rano budziłem się w tym samym ciele, w tym samym świecie, na którym to, co się wydarzyło, wydarzyło się naprawdę, nie stanowił gwarancji, że to samo powtórzy się również następnego dnia. Pierwszy raz w życiu zamknięcie oczu wydawało mi się ryzykiem. Dlatego

dalej nasłuchiwałem. Pilnowałem tego, co miałem. Nie było żadnych dźwięków, których nie powinno tam być. Ale wsłuchiwałem się dalej.

## 11

Moja matka była taka słaba. Właśnie dlatego musiała znosić więcej, niż wytrzymałby najsilniejszy.

Nie potrafiła na przykład sprzeciwić się temu gadowi, który był moim ojcem. Przez to musiała znosić więcej ciosów niż więzień skazany za obrazę moralności. On na przykład lubił ją dusić. Nigdy nie wyprę z pamięci dźwięków wydawanych przez moją matkę, która w sypialni ryczy jak krowa za każdym razem, gdy ojciec popuszcza, pozwalając jej nabrać powietrza, aby mógł zacząć zabijać ją od nowa. Była za słaba, żeby sprzeciwić się alkoholowi. Dlatego ta drobna kobieta wlewała w siebie ilości trucizny zdolne zabić bawołu albo słonia. I miała taką słabość do mnie, że dawała mi wszystko, czego potrzebowałem, również wtedy, gdy sama potrzebowała tego, co mi oddawała.

Zawsze mówiono, że jestem taki podobny do matki.

Dopiero kiedy ostatni raz popatrzyłem w oczy mojego ojca, zrozumiałem, że mam we krwi również jego. Jak wirus. Jak chorobę.

Z reguły przychodził do nas tylko wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy. I z reguły dostawał te nędzne grosze, jakie mieliśmy. Rozumiał jednak, że aby podtrzymać czynnik lęku, musi – bez względu na to, ile zdołał od nas wydebić – pokazywać, co czeka matkę

w dniu, kiedy n i e z a p ł a c i. Tłumaczyła podbite oczy i spuchnięte wargi schodami, drzwiami i śliską podłogą w łazience. Zresztą, w miarę jak alkohol coraz bardziej się zadomawiał, zdarzało się pewnie, że się przewracała albo wpadała na ścianę również bez niczyjej pomocy.

Ojciec mówił, że uczę się na idiotę. Podejrzewam, że miał takie same kłopoty z czytaniem i pisaniem jak ja, różnica polegała na tym, że on się poddał. Odszedł ze szkoły przy pierwszej nadarzającej się okazji i później nie tykał nawet gazety. Ja natomiast, o dziwo, lubiłem szkołę. Oprócz matematyki. Niewiele się tam odzywałem. Większość pewnie uważała mnie za głupka. Ale nauczyciel norweskiego, ten, który poprawiał moje wypracowania, powiedział mi, że mam w sobie coś. Coś, co ukrywa się pod tymi wszystkimi błędami, coś, czego nie mają inni. Dla mnie to było więcej niż dość. Ale ojciec pytał, na co mi całe to czytanie. Czy uważam się za kogoś lepszego od niego i reszty rodziny? Im wystarczała uczciwa praca, nie próbowali stroić się w obce słowa i zatapiać w marzeniach i baśniach. Kiedy miałem szesnaście lat, spytałem, dlaczego on nie spróbował jakiejś uczciwej pracy. Pobił mnie tak, że chodziłem siny. Oświadczył, że na tym polega wychowanie i że to dość pracy na ten dzień.

Kiedy miałem dziewiętnaście lat, przyszedł do nas któregoś dnia wieczorem. Właśnie wypuścili go z więzienia. Odsiadywał rok za zabicie jakiegoś gościa.

Nie było świadków, więc sąd przyznał obrońcy rację, że uszkodzenie mózgu mogło powstać, kiedy ten facet usiłował oddać cios i poślizgnął się na lodzie.

Ojciec rzucił, że urosłem. Po kumplowsku poklepał mnie po plecach. Matka mu mówiła, że w ostatnim roku pracowałem gdzieś przy rozładunku, czy to prawda? Czyżbym w końcu nabrał rozumu?

Nie odpowiedziałem, przemilczałem, że pracuję w wolnym czasie, poza nauką w liceum, żeby trochę oszczędzić i móc wynająć mieszkanie, kiedy w przyszłym roku po wojsku zacznę studia na uniwersytecie.

Pochwalił, że mam robotę, bo będę mógł go wspomóc.

Spytałem dlaczego.

Dlaczego? Był moim ojcem, niewinnie skazanym, więc potrzebował teraz wszelkiej pomocy, jaką mogła zapewnić mu rodzina, żeby stanął na nogi.

Odmówiłem.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem. Widziałem, że się zastanawia, czy nie uderzyć. Że mnie mierzy. Chłopak naprawdę urósł.

Potem się krótko zaśmiał. Powiedział, że jeśli nie wyciągnę tych nędznych tysiackoronówek, to zabije moją matkę. Na pewno znów będzie umiał upozorować wypadek. Co ja na to?

Nie odpowiedziałem.

Dał mi sześćdziesiąt sekund do namysłu.



Oświadczyłem, że trzymam pieniądze w banku. Musi zaczekać, aż otworzą następnego dnia rano.

Przekrzywił głowę. Jakby w ten sposób mógł lepiej sprawdzić, czy nie kłamię.

Obiecałem, że nie ucieknę, on może się przespać w moim łóżku, a ja pójdę do mamy.

– A więc i tam zająłeś moje miejsce? – wyszczerzył się. – Nie wiesz, że to zabronione? A może o tym w tych twoich książkach nie pisali?

Wieczorem rodzice podzielili się resztką alkoholu matki. Poszli do jej sypialni. Położyłem się na kanapie, a uszy zatkałem papierem toaletowym. Ale to i tak nie zdołało mnie odgrodzić od tych jej ryków. W końcu trzasnęły drzwi i zorientowałem się, że on poszedł do mojego pokoju.

ZaczeKałem do godziny drugiej. Wstałem i przyniosłem z łazienki szczotkę do kibla. Później zszedłem do piwnicy, otworzyłem nasz boks. Kiedy miałem trzynaście lat, dostałem na Gwiazdkę narty. Od matki. Bóg jeden wie, z czego musiała zrezygnować, żeby za nie zapłacić. Ale teraz były już za małe. Wyrosłem z nich. Ściągnąłem kółko z jednego kijka i wróciłem na górę. Po cichu wślizgnąłem się do swojego pokoju. Ojciec leżał na plecach i chrapał. Wspiąłem się na wąskie łóżko, stanąłem na ramie okraciem nad ojcem i przyłożyłem mu czubek kijka do brzucha. Nie ryzykowałem piersi, bo kijek mógł się zatrzymać na mostku albo którymś z żeber. Wsunąłem

jedną rękę w uchwyt, drugą położyłem na końcu trzonka, pilnując, by kijek znajdował się pod kątem prostym – obciążenie powinno rozkładać się równomiernie, tak aby bambus nie pękł. Czekałem. Nie wiem dlaczego, bo się nie bałem, nie o to chodziło. Teraz już nie. Jego oddech stał się nieco bardziej niespokojny, czułem, że wkrótce zechce przewrócić się na bok. Podskoczyłem, podciągając kolana pod siebie jak skoczek o tyczce. Opadłem pełnym ciężarem. Skóra stawiała lekki opór, ale kiedy już się przedziurawiła, kijek wszedł w ciało jak w masło. Bambusowy trzonek wciągnął kawałki T-shirtu w głąb brzucha, a szpic wbił się głęboko w materac.

Patrzył na mnie oczami pociemniałymi od szoku. Prędko usiadł mu na piersi, unieruchamiając ręce kolanami. Otworzył usta do krzyku, wtedy wycelowałem i wcisnąłem mu w gębę szczotkę od kibla. Zaczął bulgotać i wić się, ale nie mógł się ruszyć. Cholera, rzeczywiście urosłem.

Siedziałem tak, czułem bambusowy drążek na krzyżu i jego ciało poruszające się pode mną. Pomyślałem sobie, że ujeżdżam własnego ojca. Teraz to on był moją szkapą.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, zanim te drgania ustąpiły i ciało zwiotczało na tyle, że wyciągnąłem mu szczotkę z ust.

– Pieprzony dureń – wystękał z zamkniętymi oczami.  
– Trzeba poderżnąć gardło nożem, a nie...

– To by za krótko trwało – odparowałem.

Roześmiał się, zakasłał. W kąciку ust pojawiły się czerwone bąbelki.

– Brawo! Moja krew, moja krew!

To były jego ostatnie słowa. A więc udało mu się zadać ostatni cios. Bo tam i wtedy zrozumiałem, że ten drań miał rację. Rzeczywiście byłem jego nieodrodnym synem. To nieprawda, że nie wiedziałem, dlaczego czekałem przez tych kilka dodatkowych sekund, zanim wbiłem w niego kijek. Chciałem przedłużyć tę błogosławioną chwilę, kiedy to ja i tylko ja byłem panem życia i śmierci.

Miałem we krwi wirusa. Jego wirusa.

Zniosłem ciało do piwnicy, owinąłem je w stary przegniły namiot. Również dostałem go od matki. Wyobrażała sobie, że będziemy jeździć na wycieczki pod namiot całą rodziną. Piec na ognisku świeżo złowione pstrągi nad jeziorem, nad którym słońce nigdy nie zachodzi. Mam nadzieję, że właśnie tam zabierał ją alkohol.

Dopiero po ponad tygodniu zjawiała się policja, żeby spytać, czy nie widzieliśmy ojca po wyjściu z więzienia. Powiedzieliśmy, że nie. Odnotowali to, jak się wyrazili. Podziękowali i poszli. Nie sprawiali wrażenia, żeby bardzo im zależało. Już wcześniej zamówiłem transport, wywoźłem materac i pościel do spalarni śmieci. A w nocy pojechałem w najbardziej bezludne rejony doliny Nittedal nad jezioro, nad którym słońce nigdy nie

zachodzi, ale w którym przynajmniej przez pewien czas nie zamierzałem łowić pstrągów.

Usiadłem nad brzegiem, zapatrzyłem się w gładką taflę i pomyślałem, że pozostaje po nas tylko kilka kręgów na wodzie, które pojawiają się na chwilę, a potem znikają. Tak jakby nigdy ich nie było. Jakby nas nigdy tu nie było.

To była moja pierwsza likwidacja.

Kiedy kilka tygodni później dostałem z uniwersytetu pismo ze słowami: „Z przyjemnością informujemy, że został Pan przyjęty na...” z datą i godziną inauguracji roku akademickiego, podarłem je na drobne kawałeczki.

## 12

Obudził mnie pocałunek.

Zanim zrozumiałem, co to jest, przeżyłem moment czystej paniki.

Potem wszystko powróciło i panikę zastąpiło coś ciepłego i miękkiego, co z braku lepszego słowa muszę nazwać zwyczajnie szczęściem.

Przytuliła się policzkiem do mojej piersi, a ja patrzyłem na nią, na jej rozsypane na moim ciele włosy.

– Olav?

– Słucham.

– Nie możemy tu po prostu zostać na całą wieczność?

Nie przychodziło mi do głowy nic, czego bardziej bym pragnął. Przytuliłem ją do siebie. Tak ją trzymałem. Liczyłem sekundy. To były nasze wspólne sekundy, takie, których nikt nie mógł nam odebrać, sekundy, które chłonęliśmy tu i teraz. Ale jak już mówiłem, nie umiem liczyć zbyt długo. Dotknąłem wargami jej włosów.

– On nas tu znajdzie, Corino.

– No to wyjedźmy gdzieś daleko.

– Najpierw musimy go dopaść. Chyba nie chcemy już do końca życia oglądać się przez ramię.

Powiodła palcem wzdłuż grzbietu mojego nosa aż do brody, jakby biegł tamtędy jakiś szew.

– Masz rację. Ale potem możemy wyjechać, prawda?

- Owszem.
- Obiecujesz?
- Tak.
- A dokąd?
- Dokąd zechcesz.

Przeciągnęła palec dalej, wzdłuż szyi, po grdyce, między obojczykami.

- Wobec tego chcę jechać do Paryża.
- No to będzie Paryż. Dlaczego akurat tam?
- Bo to tam Kozeta i Mariusz byli razem.

Roześmiałem się, spuściłem nogi na podłogę i pocałowałem ją w czoło.

- Nie wstawaj – powiedziała.
- No to nie wstałem.

O dziesiątej zacząłem czytać gazetę, popijając kawę przy kuchennym stole. Corina spała.

Rekord zimna wciąż był w zasięgu ręki. Ale przez odwilż dzień wcześniej drogi zrobiły się śliskie, jakby ktoś je posmarował mydłem. Na Trondheimsveien samochód wpadł w poślizg i zjechał na przeciwny pas ruchu. Pod tira. Trzyosobowa rodzina wybierająca się na północ, żeby tam spędzić święta. A policja wciąż nie miała żadnych śladów w związku z zabójstwem na Vinderen.

\*

O jedenastej stałem w sklepie z porcelaną. Było tu mnóstwo ludzi polujących na prezenty gwiazdkowe.

Stałem przy oknie i udając, że oglądam serwis, obserwowałem budynek po drugiej stronie ulicy. Biura Hoffmanna. Przed wejściem stało dwóch mężczyzn: Pine i jeszcze jakiś facet, którego nie widziałem wcześniej. Ten nowy przytupywał. Dym z jego papierosa poleciał prosto w twarz Pinego, który rzucił jakiś komentarz, ale tego drugiego wcale to nie zainteresowało. Nowy miał na głowie wielką czapę z niedźwiedziego futra i płaszcz, a mimo to głowę wciskał w ramiona aż po uszy, natomiast Pine wyglądał na całkowicie rozluźnionego w tej swojej kurtce koloru psiego gówna i kapelusiku klauna. Alfonsi są przyzwyczajeni do wystawiania na ulicy. Nowy naciągnął mocniej czapkę na uszy, ale sądzę, że było to spowodowane raczej słowną sraczką Pinego niż zimnem. Pine wyciągnął papierosa zza ucha i pokazał go nowemu. Pewnie opowiadał tę samą historię o tym, że nosi tego szluga od dnia, kiedy rzucił palenie. Taki ma sposób na pokazanie tytoniowi, kto tu rządzi. Mnie się wydaje, że to był jego sposób na prowokowanie ludzi do zadawania pytania, dlaczego chodzi z papierosem za uchem, po to żeby mógł im wiercić dziury w brzuchu swoim gadaniem.

Nowy miał za dużo ubrań, abym mógł stwierdzić, czy ma przy sobie pistolet, ale kurtka Pinego dziwnie się wybrzuszała. Albo cholernie wypchany portfel, albo broń. Za ciężka, żeby to mógł być ten paskudny nóż, z którym się nie rozstawał. Nóż myśliwski, do cięcia i krojenia, z ząbkowaniem do piłowania mięsa. Pewnie

właśnie nim się posłużył, gdy nakłaniał Marię, by dla niego pracowała. Pokazał jej, co ten nóż zrobi z nią i jej chłopakiem, jeśli nie będzie pieprzyć się na okrągło, żeby oddać pieniądze, które tamten był winien. Wyobraziłem sobie szeroko otwarte, przerażone oczy Marii, wpatrujące się w jego usta i rozpaczliwie usiłujące odczytać, czego chce Pine, któremu gęba się nie zamykała. Tak jak teraz. Ale ten nowy ignorował alfonsa, tylko mrocznym spojrzeniem spod niedźwiedziej czapy omiatał ulicę. Spokojny, skoncentrowany. Musiał być wynajęty. Może z zagranicy. Wyglądał na profesjonalistę.

Opuściłem sklep wyjściem prowadzącym na równoległą ulicę. Wszedłem do budki telefonicznej na Torggata, wyjąłem stronę wyrwaną z gazety. Czekając na połączenie, narysowałem serce na szronie pokrywającym szybę wewnątrz budki.

– Halo, tu kancelaria kościoła na Ris.

– Chciałbym dostarczyć wieniec na pogrzeb Hoffmanna, który ma się odbyć pojutrze.

– Zakład pogrzebowy przyjmie...

– Problem polega na tym, że mieszkam za miastem i będę tędy przejeżdżał jutro wieczorem już po zamknięciu zakładu, dlatego pomyślałem, że podrzucę go bezpośrednio do kościoła.

– Nie mamy tu pracowników, którzy...

– Ale do jutra wieczorem będziecie mieć już trumnę w kostnicy, prawda?



– Tak, powinna już być.

Czekałem, ale nic więcej nie usłyszałem.

– Mógłby pan sprawdzić, czy tak będzie?

Niesłyszalne westchnienie.

– Chwileczkę.

Przerzucanie papieru.

– Tak, zgadza się.

– Wobec tego zajrzę do kościoła jutro wieczorem. Rodzina zapewne będzie chciała zobaczyć go ostatni raz, więc przy okazji złożę kondolencje. Na pewno umówiliście się na udostępnienie kostnicy o jakiejś konkretnej godzinie. Mógłbym właściwie zadzwonić bezpośrednio do rodziny, ale nie chcę im zawracać głowy...

Wysłuchiwałem się w wahanie po drugiej stronie linii. Chrząknąłem.

– ...w tym jakże tragicznym dla nich okresie przedświątecznym.

– Widzę, że przyjdą jutro między ósmą a dziewiątą wieczorem.

– Dziękuję. Nie wiem, czy zdążę, więc proszę im nie wspominać, że zastanawiałem się nad przyjazdem. Postaram się jednak przekazać ten wieniec jakoś inaczej.

– Jak pan sobie życzy.

– Dziękuję za pomoc.

Poszedłem na Youngstorget. W Pasażu Operowym nikt dzisiaj nie stał. Jeśli wczoraj widziałem tu człowieka Hoffmanna, to zobaczył już wszystko,

co chciał.

Chłopak nie wpuścił mnie za kontuar. Powiedział, że Rybak jest na spotkaniu. Widziałem cienie poruszające się za mlecznym szkłem wahadłowych drzwi. W końcu jeden z tych cieni wstał i wyszedł tą samą drogą, którą wczoraj opuściłem sklep. Tylnym wyjściem.

– Teraz możesz wejść – oznajmił chłopak.

– *Sorry* – odezwał się Rybak na mój widok. – Nie tylko na świątecznego dorsza jest zapotrzebowanie.

Musiałem się skrzywić, czując ostry zapach, bo się roześmiał.

– Nie lubisz zapachu płaszczy, chłopcze? – Ruchem głowy wskazał leżące na blacie wypatroszone i częściowo wyfiletowane ryby. – Płaszczy to idealne towarzystwo przy transporcie narkotyków. Psy nie mają szans. Prawie nikt w tym nie gustuje, ale ja lubię klopsiki rybne z płaszczy. Spróbuj. – Skinął w kierunku miski stojącej na pokrytym bliznami drewnianym stole. W mętnej cieczy pływały szaroblade kulki.

– A jak w ogóle kręci się ta część interesu? – spytałem, nie reagując na zachętę.

– Popytowi nie można nic zarzucić, ale Rosjanie robią się pazerni. Łatwiej będzie z nimi gadać, jeśli nie będą mogli napuszczać nas na siebie z Hoffmannem.

– Hoffmann wie, że rozmawialiśmy.

– Głupi nie jest.

– No nie. Dlatego bardzo się pilnuje. Nie da się ot tak

do niego podejść. Musimy użyć sposobu.

– To twój problem – stwierdził Rybak.

– Trzeba się dostać do środka.

– To ciągle twój problem.

– Dziś w gazecie był nekrolog. Pogrzeb Hoffmanna juniora pojutrze.

– I co?

– Wtedy możemy dopaść Hoffmanna.

– Pogrzeb. Tłum ludzi. – Rybak pokręcił głową. – Nie będę ryzykował.

– Nie na pogrzebie. Wieczorem dzień wcześniej. W kostnicy.

– Wyjaśnij.

Wyjaśniłem. Pokręcił głową. Wyjaśniałem dalej. On jeszcze bardziej kręcił głową. Uniosłem rękę i mówiłem. Ciągle kręcił głową, ale teraz z uśmiechem.

– No, no, nieźle. Jak, na miłość boską, na to wpadłeś?

– Znajomy miał pogrzeb w tym samym kościele i właśnie tak się to odbywało.

– Wiesz, że powinienem powiedzieć „nie”.

– Ale usłyszę „tak”.

– A nawet jeśli?

– Potrzebuję pieniędzy na trzy trumny. W zakładzie pogrzebowym Nocne Czuwanie mają gotowe od ręki. Ale pan to przecież wie...

Rybak posłał mi ostrzegawcze spojrzenie. Wytarł palce w fartuch. Pociągnął się za wąsy. Znów wytarł palce w fartuch.

– Weź sobie klopsika, a ja zobaczę, co mam w kasie.

Patrzyłem, jak klopsiki rybne pływają w czymś, co uznałbym za spernę, gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę. No cóż. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że nie wiem.

W drodze do domu minąłem delikatesy Marii. Uznałem, że równie dobrze mogę tam zrobić zakupy na obiad. Wszedłem, wziąłem koszyk. Siedziała tyłem do mnie. Obsługiwała klienta. Ruszyłem wzdłuż regałów. Znalazłem paluszki rybne Findus, ziemniaki i marchewkę. Cztery piwa. Mieli w ofercie czekoladki Król Haakon, opakowane w świąteczny papier. Wrzuciłem bombonierkę do koszyka.

Zbliżyłem się do kasy Marii. W sklepie nie było nikogo więcej. Zobaczyłem, że mnie dostrzegła. Że się zaczerwieniła. Cholera, nic dziwnego. Pewnie ciągle pamiętała tamtą historię z obiadem. Przecież nieczęsto zapraszała mężczyzn do siebie do domu.

Podszedłem do niej, rzuciłem krótkie „cześć”. Patrzyłem w koszyk, koncentrując się na wykładaniu towarów – paluszków rybnych, ziemniaków, marchewki i piw – na taśmę. Bombonierkę przez chwilę trzymałem w ręku. Wahałem się. Ten pierścionek na palcu Coriny. To właśnie ten pierścionek dostała od kochanka. Ot, tak po prostu. A ja miałbym wystartować z prezentem gwiazdkowym w postaci pieprzonej bombonierki, opakowanej tak, jakby była berłem Kleopatry.

– To. Już. Wszystko?

Zaskoczony spojrzałem na Marię. Mówiła. Cholera, naprawdę! Dziwnie to brzmiało, owszem. Ale to były słowa. Równie dobre jak każde inne. Odgarnęła włosy z twarzy. Piegi. Spokojne oczy. Trochę zmęczone.

– Tak – odparłem z przesadnie wyraźną dykcją, napinając wargi.

Uśmiechnęła się lekko.

– To... już... wszystko – powiedziałem powoli i trochę za głośno.

Spojrzała pytająco na bombonierkę.

– Dla... ciebie. – Podałem jej. – Wesołych... świąt.

Zasłoniła usta dłonią. A za tą dłonią odbył się cały spektakl rozmaitych min. Było ich więcej niż sześć. Zaskoczenie, niedowierzanie, radość, konsternacja, a potem uniesiona pytająco brew: dlaczego? Oczy zmrużone jak dwie kreski i wypowiedziane ze śmiechem podziękowanie.

Pewnie właśnie tak się dzieje, kiedy człowiek nie może mówić. Ma wówczas bardzo wyrazistą twarz. Uczy się odgrywać coś w rodzaju pantomimy, która może się wydawać bardzo przesadzona komuś, kto nie jest do niej przyzwyczajony.

Wręczyłem jej pudełko z czekoladkami. Patrzyłem, jak jej piegowata dłoń zbliża się do mojej. Czego chciała? Chciała mi ucisnąć rękę? Cofnąłem się szybko. Kiwnąłem Marii głową i skierowałem się do drzwi. Czuję na plecach jej spojrzenie. Cholera,

przecież ja tylko dałem jej bombonierkę? Co ona właściwie sobie wyobraża?

Kiedy wróciłem do domu, w mieszkaniu było ciemno. W łóżku widziałem zarys ciała Coriny.

Leżała tak cicho i nieruchomo, że wręcz mnie to zdziwiło. Wolno podszedłem do łóżka, stanąłem nad nią. Wydawała się taka spokojna. I taka blada. W głowie zaczął mi tykać zegarek. Tykał tak, jakby chciał na coś zdążyć. Nachyliłem się nad nią, zawiesiłem twarz tuż nad jej ustami. Czegoś brakowało. A ten zegarek tykał coraz głośniej.

– Corino – szepnąłem.

Żadnej reakcji.

– Corino – powtórzyłem trochę głośniej i usłyszałem w swoim głosie coś, czego nie było w nim wcześniej. Jakąś przenikliwą bezradność.

Otworzyła oczy.

– Chodź tu, misiu – szepnęła. Objęła mnie i pociągnęła do łóżka.

\*

– Mocniej – szepnęła. – Ja się nie rozpadnę.

To prawda, pomyślałem, nie rozpadniesz się. Nie rozpadniemy się ani my, ani to. Bo na to właśnie czekałem. Do tego się wprawiałem. Nie mogło tego zniszczyć nic oprócz śmierci.

– Och, Olav – szepnęła. – Och, Olav!

Twarz jej jaśniała, usta się uśmiechały, ale oczy błyszczały od łez. Piersi pode mną falowały, białe, takie białe. I chociaż w tej chwili była przy mnie tak blisko, jak można zbliżyć się do drugiego człowieka, miałem wrażenie, że widzę ją tak, jak zobaczyłem pierwszy raz, z daleka, za oknem po przeciwnej stronie ulicy. I pomyślałem, że nie można widzieć drugiego człowieka bardziej obnażonego niż wtedy, kiedy nie wie, że jest obserwowany, studiowany. Ona nigdy mnie takiego nie widziała. Może miała nigdy nie zobaczyć. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że ciągle mam te kartki, ten list. To, czego nie dokończyłem pisać. Gdyby Corina się na nie natknęła, mogłaby coś źle zrozumieć. Zdziwiłem się, że serce zaczęło mi bić szybciej z powodu takiej błażostki. Kartki leżały pod pojemnikiem ze sztućcami w kuchennej szufladzie. Nie było powodu, żeby ktokolwiek go przesunął. Mimo wszystko postanowiłem wyrzucić zapiski przy pierwszej nadarzącej się okazji.

– O tak, Olav!

Coś się we mnie poluzowało, kiedy doszedłem. Coś, co do tej pory blokowało. Nie wiem co, ale ciśnienie wytrysku porwało to ze sobą, wypluło. Ciężko oddychałem, leżąc na plecach. Byłem odmienionym człowiekiem, tylko na razie jeszcze nie wiedziałem, na czym polega ta zmiana.

Nachyliła się nade mną, połąskotała mnie w czoło.

– Jak się czujesz, mój królu?

Odpowiedziałem, ale gardło miałem pełne śluzu.

– Co? – roześmiała się.

Odchrząknąłem i powtórzyłem:

– Głodny.

Śmiała się jeszcze głośniej.

– I szczęśliwy – dodałem.

Corina nie tolerowała ryb. Miała na nie alergię, od zawsze, to podobno rodzinne.

Sklepy spożywcze były zamknięte, ale powiedziałem, że mogę zamówić CP Spezial w Chinapizza.

– Chinapizza?

– To taki bar, serwują chińszczyznę i pizzę. To znaczy oddzielnie. Prawie codziennie jem tam obiad.

Ubrałem się i zszedłem do budki telefonicznej na rogu. Nie założyłem telefonu w mieszkaniu, nie chciałem. Nie miałem ochoty mieć linii, na której ludzie mogliby mnie słuchać, znaleźć mnie, mówić do mnie.

Z budki widziałem swoje okno na trzecim piętrze. I widziałem w nim Corinę. Jej głowę otoczoną światłem jak jakąś pieprzoną aureolą. Corina patrzyła na mnie. Pomachałem do niej. Odmachała.

W końcu aparat przełknął jednokoronówkę z metalicznym odgłosem.

– Chinapizza. Bardzo plose.

– Cześć, Lin, tu Olav. CP Spezial na wynos.

– Pan nie je tu, mistel Olav?

– Nie dzisiaj.



- Piętnaście minut.
- Dziękuję. I jeszcze jedno. Nikt o mnie nie pytał?
- O pana, mistel Olav? Nie.
- To dobrze. A siedzi tam ktoś, z kim mnie wcześniej widziałeś? Taki facet z dziwnymi cienkimi wąsami, które wyglądają jak narysowane? Albo w brązowej skórzanej kurtce z papierosem za uchem?
- Zalaz zobace... Nie.

W środku było mniej więcej dziesięć stolików, więc mu zaufałem. Ani Brynhildsen, ani Pine na mnie nie czekali. Chodzili tam ze mną nie raz, jednak pewnie nie wiedzieli, jak często w istocie odwiedzam to miejsce. To dobrze.

Pchnąłem ciężkie metalowe drzwi budki telefonicznej, spojrzałem w okno. Ona ciągle tam stała.

Dojście do Chinapizza zajęło mi kwadrans. Pizza leżała w czerwonym kartonowym pudełku wielkości stolika kempingowego. CP Spezial. Najlepsza w całym Oslo. Już się cieszyłem na widok twarzy Coriny, kiedy weźmie do ust pierwszy kawałek.

– *See you latel all-a-gatol!* – zawołał jak zwykle Lin, gdy już wychodziłem. Drzwi zamknęły się za mną, zanim dotarła do mnie druga część pozdrowienia, ta rymująca się z krokodylem.

Szybkim krokiem ruszyłem po chodniku, skręciłem za róg. Myślałem o Corinie. Musiałem o niej myśleć b a r d z o intensywnie. W każdym razie tylko to mogło

tłumaczyć, że ich nie zauważyłem, nie usłyszałem ani nawet nie przyszło mi do głowy to, co oczywiste. Jeśli zrozumieli, że jest to miejsce, które stale odwiedzam, to zrozumieli również, że muszę pomyśleć, że istnieje możliwość, że to zrozumieli, więc zbliżając się do tego miejsca, zachowam pewną ostrożność. Nie czekali zatem w ciepłe i światło, tylko na zewnątrz, w zimnym kosmicznym mroku, w którym – gotów jestem się o to założyć – nie poruszały się nawet molekuły.

Usłyszałem dwa skrzypnięcia na śniegu. Ale ręce miałem zajęte tą przeklętą pizzą i nie zdążyłem sięgnąć po pistolet, gdy już poczułem zimny metal wciskający mi się w ucho.

– Gdzie ona jest?

To był Brynhildsen. Narysowane ołówkiem wąsy poruszały się, kiedy mówił. Towarzyszył mu młody chłopak, który wyglądał raczej na wystraszonego niż groźnego i równie dobrze mógł mieć na piersi plakietkę z napisem „uczę się”, chociaż trzeba przyznać, że przeszukując mnie, starannie się przyłożył. Podał mój pistolet Brynhildsenowi. Przypuszczałem, że Hoffmann ma dość oleju w głowie, by nie pozwolić temu gołowąsowi na noszenie czegoś cięższego kalibru. Mógł mieć najwyżej nóż czy coś podobnego. Broń alfonsów. Pistolet to broń handlarzy narkotyków.

– Hoffmann mówi, że będziesz żył, jeżeli dostaniemy jego żonę – oznajmił Brynhildsen.

To było kłamstwo, ale oczywiście powiedziałbym tak

samo. Zacząłem rozważać możliwości. Ulicę jakby wyczyszczono z samochodów i ludzi. Oprócz tych, których nie powinno tu być. I było tak cicho, że słyszałem, jak sprężyna spustu, napinając się, lekko pojękuje.

– No dalej! – ponaglił Brynhildsen. – Bo znajdziemy ją i bez ciebie.

Miał rację, nie blefował.

– W porządku – powiedziałem. – Zabrałem ją, żeby mieć kartę przetargową. Nie wiedziałem, że to dzieciak Hoffmanna.

– Ja nic nie wiem. Mamy tylko przyprowadzić żonę.

– No to musimy po nią iść.

## 13

– M u s i m y pojechać kolejką. Posłuchajcie, jej się wydaje, że ją chronię. Bo tak też jest. Aż do czasu, kiedy będę mógł ją wykorzystać właśnie do tego dila. Dlatego zapowiedziałem, że jeśli nie wrócę do domu za pół godziny, będzie to oznaczało, że stało się coś poważnego i ma uciekać. Przy takim ruchu jak teraz, przed świętami, dojazd samochodem do mojego mieszkania zajmie nam co najmniej trzy kwadranse.

Brynhildsen popatrzył na mnie.

– No to zadzwoń do niej i powiedz, że się spóźniasz.

– Nie mam telefonu.

– Tak? A jak to możliwe, że pizza była gotowa, kiedy przyszedłeś, Johansen?

Spojrzałem na olbrzymi czerwony karton. Brynhildsen nie był idiotą.

– Budka telefoniczna.

Przeciągnął palcem wskazującym i kciukiem po wąsach z obu stron ust, jakby próbował rozciągnąć te kreski. Omiótł wzrokiem ulicę. Pewnie oceniał ruch. Rozważał, co powie Hoffmann, jeśli jego żonie uda się uciec.

– CP Specjal. – To odezwał się chłopak. Uśmiechnął się szeroko, patrząc na karton. – Najlepsza pizza w mieście, co nie?

– Zamknij się! – Brynhildsen zakończył pielęgnację wąsów i podjął decyzję. – Jedziemy kolejką. Zadzwonimy do Pinego z tej twojej budki i powiemy, żeby nas stamtąd zabrał.

Spacerem, który trwał pięć minut, dotarliśmy do podziemnej stacji przy Teatrze Narodowym. Brynhildsen nasunął na pistolet rękaw płaszcza.

– Sam sobie kup bilet. Ja niczego nie funduję – oświadczył, gdy stanęliśmy przy okienku kasy.

– Ten, który kupiłem, jadąc w tę stronę, jest ważny godzinę – skłamałem.

– No tak, rzeczywiście. – Brynhildsen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zawsze mogłem mieć nadzieję na kontrolę biletów i na to, że zabiorą mnie na bezpieczny komisariat policji.

W wagonie było akurat na tyle ciasno, na ile liczyłem.

Zmęczeni ludzie po pracy, młodzież żująca gumę, kobiety i mężczyźni w grubych ubraniach, z gwiazdkowymi prezentami wystającymi z plastikowych toreb. Musieliśmy stać. Ustawiliśmy się na środku wagonu, wszyscy trzej jedną ręką przytrzymując się śliskiego stalowego drążka. Drzwi się zamknęły. Para z oddechów ludzi znów zaczęła kłaść się na oknach. Skład ruszył.

– Hovseter. Nie przypuszczałem, że mieszkasz w zachodniej dzielnicy, Johansen.

– Nie wierz we wszystko, co ci się wydaje,

Brynhildsen.

– Tak? Na przykład w to, że mogłoby się wydawać, że raczej kupiłbyś pizzę na Hovseter, zamiast przyjeżdżać po nią do centrum?

– To CP Spesial – powtórzył z nabożeństwem chłopak, wpatrzony w czerwony karton zajmujący absurdalnie dużo miejsca w przepełnionym wagonie. – Nie kupisz...

– Zamknij się! Lubisz zimną pizzę, Johansen?

– Podgrzewamy.

– My? Ty i kobieta Hoffmanna? – Brynhildsen prychnął krótkim śmiechem. Zabrzmiało to jak uderzenie topora. – Masz rację, Johansen. Nie można wierzyć we wszystko, co się komuś wydaje.

No właśnie. Nie można na przykład wierzyć, że facet taki jak ja naprawdę uwierzy, że facet taki jak Hoffmann zamierza puścić go żywego. A zakładając, że ktoś taki jak ja w to nie wierzy, to nie można też wierzyć, że nie podejmie rozpaczliwej próby odmienienia biegu całej tej przykrej historii.

Brynhildsen miał brwi, które leciutko zrastały się ze sobą nad grzbietem nosa. Nie potrafiłem odczytać, co się za nimi rozgrywa, ale przypuszczałem, że zaplanował zabić Corinę i mnie w moim mieszkaniu. Potem włożyć mi pistolet do ręki, żeby wyglądało na to, że zastrzeliłem ją i siebie. Facet oszalały z miłości. Klasyczna sprawa. Lepsze rozwiązanie niż wrzucenie nas do jeziora w którejś z dolin w pobliżu Oslo. Gdyby

Corina po prostu zniknęła, śledczy automatycznie zainteresowałby się mężem, a żadna ze stron życia Hoffmanna nie tolerowała śledztwa. W każdym razie tak bym się zachował, gdybym był Brynhildsenem. No ale Brynhildsen nie był mną. Był facetem, który miał niedoświadczonego asystenta, pistolet w rękawie, jedną rękę luźno dotykającą metalowego słupka i nogi rozstawione nie na tyle szeroko, że zdołałby utrzymać równowagę. Tak to już jest, kiedy się pierwszy raz jedzie tą kolejką. Zacząłem odliczać. Znałem każde połączenie torów. Każdy ruch. Każdy przecinek i kropkę.

– Przytrzymaj – powiedziałem, wbijając karton z pizzą w pierś chłopaka, który odruchowo złapał pudełko.

– Hej! – wrzasnął Brynhildsen, przekrzykując zgrzyt metalu i unosząc rękę z pistoletem dokładnie w momencie, gdy dotarliśmy do zwrotnicy. Zacząłem wykonywać ruch idealnie wtedy, kiedy wagonem zarzuciło, a Brynhildsen mechanicznie wyciągnął rękę, w której trzymał pistolet, żeby złapać równowagę. Obiema dłońmi mocno chwyciłem się drążka i podciągnąłem się z całej siły. Wycelowałem głową w miejsce, w którym brwi Brynhildsena niemal zrastały się nad nosem. Czytałem gdzieś, że ludzka głowa waży cztery i pół kilograma, co przy prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę daje łącznie taką siłę, że trzeba mieć lepszy łeb do matematyki niż

mój, żeby to obliczyć. W każdym razie kiedy znów się odchyliłem, z pękniętego nosa Brynhildsen trysnął niewielki prysznik kropelek krwi, a zamiast oczu widać było tylko białka i dolne części tęczęwek wystające spod powiek. Ręce trzymał rozłożone sztywno na boki, jak pingwin. Zrozumiałem, że Brynhildsen już odjechał, ale żeby odciąć mu możliwość ewentualnego powrotu, złapałem go za obie ręce, to znaczy jedną ręką za pistolet schowany w rękawie, tak jakbyśmy mieli tańczyć we dwóch, Brynhildsen i ja. I powtórzyłem ten ruch, który przyniósł zadowalający wynik już za pierwszym razem. Mocno pociągnąłem go ku sobie, jednocześnie spuszczaając głowę i waląc go w nos. Usłyszałem, że poddaje się coś, co chyba nie powinno. Puściłem go, ale nie jego pistolet. Brynhildsen zwałił się jak worek. Ludzie wokół nas z jękiem usiłowali się cofnąć.

Odwróciłem się i wycelowałem w chłopaka, dokładnie w chwili, gdy nosowy głos z wystudiowaną obojętnością oznajmił przez głośnik „Valkyrie plass”.

– Mój przystanek – powiedziałem, nachyliłem się i nie spuszczaając chłopaka z muszki, wyciągnąłem swój pistolet z kieszeni na piersi Brynhildsen.

Oczy chłopaka nad kartonem z pizzą były okrągłe jak spodki, a usta otwarte tak szeroko, że w perwersyjny sposób stanowiły kuszący cel. Kto wie, może za kilka lat to on będzie mnie ścigał, mając do dyspozycji większy ciężar doświadczenia i cięższą broń. Chociaż czy



po latach? Przecież ci chłopcy uczą się tego, czego trzeba, w ciągu trzech – czterech miesięcy.

Zaczęliśmy hamować przy wjeździe na stację. Przedostałem się do drzwi, które były tuż za mną. Wokół nas nagle zrobiło się luźno, bo ludzie przycisnęli się do ścian i tylko się na nas gapili. Słysząc było jedynie gaworzenie jakiegoś dziecka, poza tym panowała cisza. Pociąg się zatrzymał, drzwi się rozsunęły. Zrobiłem jeszcze jeden krok do tyłu. Stałem w drzwiach. Jeśli ktoś za mną chciał wsiąść, to zrobił mądrze, wybierając inne wejście.

– Dawaj! – powiedziałem.

Chłopak nie zareagował.

– Dawaj! – powtórzyłem wyraźniej.

Zamrugął, nic nie rozumiejąc.

– Pizza!

Zrobił krok do przodu apatycznie jak lunatyk i wręczył mi czerwony karton. Tyłem wysiadłem na peron. Stałem tam z pistoletem wycelowanym w chłopaka, chcąc mieć pewność, że zrozumiał – to tylko m ó j przystanek. Zerknąłem na Brynhildsenę. Leżał rozciągnięty na podłodze, ale ramię mu drgało, jakby elektryczny impuls przechodził przez coś, co było zniszczone, ale nie chciało umrzeć.

Drzwi się zasunęły.

Chłopak wpatrywał się we mnie z za pobrudzonych solą i zimowym błotem szyb. Pociąg ruszył w stronę Hovseter.

– *See you later, all-a-gatol* – szepnąłem i opuściłem broń.

Szybkim krokiem ruszyłem w stronę domu, nasłuchując wycia policyjnych syren. Kiedy je usłyszałem, odłożyłem pudełko z pizzą na schody zamkniętej księgarni i zawróciłem w stronę dworca. Gdy niebieskie światła mnie minęły, znów się odwróciłem i prędko poszedłem z powrotem. Pizza leżała nietknięta. Mówiłem już przecież, że tak się cieszyłem na widok twarzy Coriny, kiedy weźmie do ust pierwszy kęs.

## 14

- Nie spytałeś – rzuciła w ciemność.
- Nie – przyznałem.
- Dlaczego?
- Pewnie nie jestem zbyt dociekliwy.
- Ale musisz się zastanawiać. Ojciec i syn...
- Liczę, że mi opowiesz, kiedy poczujesz taką potrzebę.

Łóżko zaskrzypiało, gdy Corina odwróciła się w moją stronę.

- A jeśli nigdy nic nie powiem?
- No to się nigdy nie dowiem.
- Nie rozumiem cię, Olav. Dlaczego chciałeś mnie uratować? M n i e? Ty, taki dobry, kogoś tak nędznego jak ja?
- Nie jesteś nędzna.
- A skąd wiesz? Nie chcesz nawet spytać, żeby się dowiedzieć.
- Wiem, że jesteś teraz przy mnie, i to mi na razie wystarcza.

– A potem? Powiedz, że zdołasz sprzątnąć Daniela, zanim on sprzątnie ciebie. Powiedz, że wyjedziemy do Paryża. Że w jakiś sposób zdołamy wyskrobać pieniądze na życie. Ale i tak będziesz się zastanawiał, kim jest kobieta, która umiała być kochanką własnego

pasierba. Bo takiej osobie nigdy w pełni nie można zaufać, prawda? Z takim talentem do zdrady...

– Corino – przerwałem jej, sięgając po papierosy. – Jeśli nie daje ci spokoju, nad czym będę się zastanawiał, a nad czym nie, to możesz mi o tym opowiedzieć. Mówię tylko, że to zależy od ciebie. Powiesz, kiedy będziesz chciała.

Lekko ugryzła mnie w ramię.

– Boisz się tego, co mam do powiedzenia? O to chodzi? Boisz się usłyszeć, że nie jestem taka, jak sobie wymarzyłeś?

Wyjąłem papierosa, ale nie znalazłem zapalniczki.

– Posłuchaj. Jestem człowiekiem, który postanowił zarabiać na chleb powszedni zabijaniem bliźnich. Mam pewien margines dla różnych zachowań ludzi i ich motywów.

– Nie wierzę ci.

– Co?

– Nie wierzę ci. Uważam, że tylko usiłujesz to ukryć.

– Co ukryć?

Usłyszałem, że przełyka ślinę.

– Że mnie kochasz.

Odwróciłem się do niej.

Światło księżyca wpadające przez okno migotało w jej mokrych oczach.

– Kochasz mnie, ty wariacie. – Trzepnęła mnie w ramię. – Kochasz mnie, ty wariacie. Kochasz mnie, ty wariacie – powtarzała, a z oczu leciały jej łzy.

Przyciągnąłem ją do siebie, tuliłem. Moje ramię najpierw się rozgrzało, a potem ochłodziło od jej łez. Wreszcie dostrzegłem zapalniczkę. Leżała na pustym kartonie po pizzy. Jeśli wcześniej miałem jakieś wątpliwości, to teraz już wiedziałem. Polubiła CP Spezial. Polubiła mnie.

## 15

Dzień przed Wigilią.

Znów się ochłodziło. Tyle z tej odwilży.

Z budki na rogu zadzwoniłem do biura podróży. Powiedziano mi, ile kosztują bilety lotnicze do Paryża. Odparłem, że oddzwonię. Potem zatelefonowałem do Rybaka.

Bez wstępów oświadczyłem, że chcę pieniędzy za zlikwidowanie Hoffmanna.

– Rozmawiamy na otwartej linii, Olav.

– Nie jest na podsłuchu.

– Skąd wiesz?

– Hoffmann płaci jednemu facetowi z telekomunikacji, który ma rozeznanie w podsłuchiowanych telefonach. Żadnego z was nie ma na tej liście.

– Przecież pomagam ci rozwiązać twój problem, Olav. Dlaczego miałbym ci za to płacić?

– Tyle pan zarobi na zniknięciu Hoffmanna, że moje honorarium to będą nędzne grosze.

Pauza. Ale niezbyt długa.

– Ile?

– Czterdzieści tysięcy.

– W porządku.

– Gotówka. Do odbioru w sklepie jutro rano.

– W porządku.

– I jeszcze jedno. Nie mogę ryzykować przychodzenia do sklepu dziś wieczorem. Ludzie Hoffmanna trochę mi depczą po piętach. Niech pan przekaże, żeby wóz podjechał po mnie na tyłach stadionu Bislett o siódmej.

– W porządku.

– Załatwiliście trumny i samochód?

Rybak nie odpowiedział.

– *Sorry* – mruknąłem. – Przywykłem do tego, że wszystko organizuję sam.

– Coś jeszcze?

Rozłączyliśmy się. Stałem wpatrzony w telefon. Rybak bez wahania zgodził się na czterdzieści tysięcy. A przecież z wdzięcznością wziąłbym piętnaście. On tego nie zrozumiał? Ten kramarz? To się po prostu nie zgadzało. No tak, nie zgadzało się. Za tanio się sprzedawem. Powinienem poprosić o sześćdziesiąt. Może o osiemdziesiąt. Ale teraz było już za późno. Pozostało się cieszyć, że udało mi się w ogóle coś wynegocjować.

Z reguły zaczynam się denerwować, kiedy od likwidacji dzieli mnie więcej niż jeden dzień. Potem, w miarę odliczania ostatnich godzin, denerwuję się coraz mniej. Tak samo było tym razem.

Zajrzałem do biura podróży i zabukowałem bilety do Paryża. Polecono mi pensjonat na Montmartrze. Niedrogi, ale przytulny i romantyczny. Tak się wyraziła kobieta za kontuarem.

– Aha – powiedziałem.

– Prezent gwiazdkowy? – Uśmiechnęła się, wpisując zamówienie na nazwisko podobne do mojego, ale trochę inne. Skoryguję je tuż przed wyjazdem. Jej nazwisko widniało na plakietce przypiętej do gruszkowozielonego żakietu, będącego najwyraźniej uniformem pracowników tego biura podróży. Mocny makijaż. Plamy od tytoniu na zębach. Opalona. Może właściciel sponsorował podwładnym wyjazdy do ciepłych krajów?

Wyszedłem na ulicę. Rozejrzałem się na prawo i lewo. Zateśkniłem za ciemnością.

Po drodze do domu zorientowałem się, że przedrzeźniam Marię. To. Już. Wszystko?

O piątej miałem już spakowane dwie walizki.

– W Paryżu możemy dokupić potrzebne rzeczy – uspokoiłem Corinę, która sprawiała wrażenie o wiele bardziej zdenerwowanej niż ja.

O szóstej rozłożyłem, oczyściłem, nasmarowałem i z powrotem złożyłem pistolet. Naładowałem magazynek. Wziąłem prysznic i przebrałem się w łazience. Przerobiłem w myślach to, co miało się wydarzyć. Przerobiłem w myślach to, co mogło się wydarzyć. Doszedłem do wniosku, że nie powinienem dopuścić, by Klein w jakiegokolwiek chwili znalazł się za mną. Włożyłem czarny garnitur. Usiadłem w fotelu. Pociłem się. Corina marzła.



- Powodzenia – powiedziała.
- Dziękuję. – Wstałem i wyszedłem.

## 16

Stałem, przytupując w ciemności za starym stadionem łyżwiarsko-piłkarskim.

W „Aftenposten” napisali, że w nocy i w następnych dniach przyjdą wielkie mrozy i rekord zimna na pewno zostanie pobity.

Duża ciężarówka podjechała pod krawężnik punktualnie o siódmej. Ani minuty przed, ani minuty po. Uznałem to za dobry znak.

Otworzyłem drzwi do części bagażowej, wskoczyłem do środka. Klein i Duńczyk już siedzieli na swoich białych trumnach. Obaj włożyli czarne garnitury, białe koszule i krawaty, tak jak prosiłem. Duńczyk powitał mnie wesoło w tym swoim kartoflowatym języku, ale Klein tylko patrzył spode łba. Przysiadłem na trzeciej trumnie i zapukałem w szybę szoferki. Samochód prowadził ten chłopak, który tak bacznie mi się przyglądał, kiedy przyszedłem do sklepu rybnego.

Droga do kościoła na Ris wiła się wśród cichych willowych ulic. Nie widziałem tego, ale wiedziałem.

Wciągnąłem powietrze nosem. Czy Rybak udostępnił któryś z własnych samochodów do przewozu ryb? Jeżeli tak, to zakładałem, że dla własnego dobra założył fałszywe tablice.

– Skąd ten wóz? – spytałem.

– Stał zaparkowany na Ekeberg – wyjaśnił Duńczyk. – Rybak mówił, żebym skombinował coś pogrzebowego. – Roześmiał się głośno. – P o g r z e b o w e g o.

Zrezygnowałem z pytania, dlaczego wobec tego tak tu cuchnie rybą, bo właśnie zrozumiałem, że to oni. Przypomniało mi się, że po wizycie na zapleczu sklepu sam tak śmierdziałem.

– Jakie to uczucie? – spytał nagle Klein. – Likwidować własnego szefa?

Wiedziałem, że im mniej będę rozmawiać z Kleinem, tym lepiej.

– Nie wiem.

– Jasne, że wiesz. Gadaj!

– Daj spokój.

– Nie.

Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że rzeczywiście nie ma zamiaru się poddać.

– Po pierwsze, Hoffmann nie jest moim szefem. Po drugie, nic nie czuję.

– Oczywiście, że jest twoim szefem. – Wściekłość przejawiała się w jego głosie w postaci lekkiej szorstkości.

– Jak sobie chcesz.

– Dlaczego miałyby nie być twoim szefem?

– Nieważne.

– Dalej, człowieku! Chcesz, żebyśmy ratowali ci tyłek, więc może byś tak troszeczkę... – dwoma palcami pokazał, ile to jest troszeczkę – ...się ugiął?

Samochód gwałtownie skręcił, przesunęliśmy się na śliskich wiekach trumien.

– Hoffmann płaci mi za konkretne usługi od sztuki. A to znaczy, że jest moim klientem. Poza tym...

– Klientem? – powtórzył Klein. – A Mao był sztuką?

– Jeżeli Mao był jednym z tych, których zlikwidowałem, to był sztuką. Bardzo mi przykro, jeśli to ktoś, z kim łączyły cię uczucia.

– Łączyły uczu... – Klein wypluł te słowa, ale nie wytrzymał. Musiał przerwać i wziąć kilka głębszych oddechów. – Myślisz, że jak długo sam pożyjesz, likwidatorze?

– Dzisiaj to Hoffmann jest sztuką – powiedziałem. – Proponuję, żebyśmy się na tym skupili.

– A kiedy on już zostanie zlikwidowany, to sztuką będzie ktoś inny.

Patrzył na mnie, nawet nie próbując ukrywać nienawiści.

– Skoro najwyraźniej tak lubisz szefów, to przypominam ci o rozkazach, które dostałeś od Rybaka.

Już chciał podnieść tę swoją ohydną strzelbę, ale Duńczyk położył mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie, Klein!

Samochód zwolnił. Młody odwrócił się do szyby.

– Pora wskakiwać do wampirzych łóżek, chłopaki.

Zdjęliśmy wieka sześciokątnych trumien i ułożyliśmy się w środku. Zaczekałem, aż zobaczę, jak Klein zamyka się w swojej, dopiero wtedy nasunąłem pokrywę

własnej. Dwoma śrubami przymocowaliśmy wieka od środka. Tylko parę obrotów, nie za dużo, by się trzymały, ale żeby dało się je otworzyć we właściwym momencie. Przestałem się denerwować. Tylko nogi mi się trzęsły. Dziwne.

Zatrzymaliśmy się, trzasnęły drzwi. Z zewnątrz dobiegły głosy.

– Dziękuję za możliwość skorzystania z kostnicy. – To mówił chłopak.

– Nie ma za co.

– Obiecano mi, że ktoś pomoże mi je znieść.

– No tak, trupy raczej nie pomogą.

Męski śmiech. Domyślałem się, że to jeden z grabarzy. Otworzyły się tylne drzwi. Leżałem z samego brzegu i poczułem, że się unoszę. Starłem się być tak nieruchomy, jak tylko umiałem. Mieliśmy wyborowane dziury do oddychania na spodzie i z boku trumien, wpadło przez nie trochę światła, kiedy mnie nieśli korytarzem.

– To ta rodzina, która zginęła na Trondheimsveien?

– Tak.

– Czytałem o tym w gazecie. Tragiczna sprawa. Mają ich pochować na północy, tak?

– Tak.

Trumna się przechyliła, zsunąłem się, głową uderzyłem o ściankę. Cholera, wydawało mi się, że nieboszczyków zawsze noszą nogami do przodu.

– Nie zdążyliście ich przewieźć przed świętami?

– Mają być pochowani w Narwiku, to dwa dni jazdy.

Drobne szurające kroki. Dotarli już do wąskich kamiennych schodów. Dobrze je pamiętałem.

– Dlaczego nie wyślecie ich po prostu samolotem?

– Krewni uważają, że to za drogo – odpowiedział chłopak. Nieźle sobie radził. Uprzedzałem go, że jeśli będzie za dużo pytań, ma mówić, że zakład pogrzebowy dopiero go zatrudnił.

– Woleli, żeby ich przechować w kościele?

– No tak, święta i w ogóle.

Znow szliśmy po płaskim.

– Właśnie, to zrozumiałe. A tu nie brakuje miejsca, jak widzisz. Tylko ta jedna trumna na jutrzejszy pogrzeb. Otwarta, bo niedługo przyjdzie rodzina, żeby na niego popatrzeć. A tę możemy ustawić tu, na tym koźle.

– Lepiej będzie na podłodze.

– Chcesz, żeby trumna stała na betonie?

– Tak.

Przystanęli. Jakby się wahali.

Postawili mnie. Usłyszałem jakiś chrobot tuż przy głowie, a potem oddalające się kroki.

Zostałem sam. Wyjrzałem przez dziurkę. Nie całkiem sam. Sam z trupem. Z jedną sztuką. Z moim trupem. Poprzednim razem też byłem tutaj sam. Matka w trumnie wyglądała na taką malutką. Skurczoną. Może dusza zajmowała w niej więcej miejsca niż u większości ludzi?

Jej rodziny, która się stawiła, nigdy wcześniej nie poznałem. Kiedy matka związała się z ojcem, jej rodzice

z nią zerwali. Moi dziadkowie, wujowie i ciotki nie akceptowali tego, że ktoś z rodziny poślubił kryminalistę. Jedyłą okoliczność łagodzącą stanowił fakt, że przeniosła się z nim we wschodnie rejony miasta. Co z oczu, to z serca.

Ale wtedy ja byłem na oczach. Przykry widok dla dziadków, wujów i ciotek, których do tej pory znałem jedynie z opowieści mamy w pijanym widzie albo na haju. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ust krewnego, nie licząc rodziców, brzmiały „moje kondolencje”. Mniej więcej dwadzieścia kondolencji w kościele w zachodniej dzielnicy, o rzut kamieniem od miejsca, w którym się wychowała. Potem wróciłem na swój brzeg rzeki i nie widziałem nigdy więcej nikogo z nich.

Sprawdziłem, czy śruby są właściwie poluzowane.

Pojawiła się druga trumna.

Kroki znów się oddaliły. Spojrzałem na zegarek. Wpół do ósmej.

Przyszła trzecia trumna.

Chłopak i grabarz ruszyli na górę, rozmawiając o świątecznych daniach.

Na razie wszystko szło według planu.

Pastor oczywiście się nie sprzeciwił, kiedy zadzwoniłem i w imieniu rodziny z Narwiku spytałem, czy kościół nie mógłby w tranzycie przechować przez święta trzech ofiar wypadku samochodowego.

Czekaliśmy na swoich miejscach, a za pół godziny

przypuszczalnie miał się tu zjawić Hoffmann. Pozostawała nadzieja, że ochroniarzy zostawi na zewnątrz. W każdym razie nie było żadną przesadą stwierdzenie, że moment zaskoczenia będziemy mieć po naszej stronie.

Fosfor w moim zegarku rozjaśniał mrok.

Za dziesięć.

Punkt.

Pięć po.

Przypomniałem sobie o czymś. O kartkach. O liście. Ciągle leżał pod pojemnikiem na sztuce. Dlaczego go nie wyrzuciłem? Czyżbym zapomniał? I dlaczego zadaję sobie takie pytanie, a nie pytam o to, co by było, gdyby Corina go znalazła? Chciałem, żeby tak się stało? Kto zna odpowiedź na wszystkie takie pytania?

Usłyszałem podjeżdżające samochody. Trzaskanie drzwiami.

Kroki na schodach.

Byli tu.

– Wygląda tak spokojnie – rozległ się damski głos.

– Ładnie go przygotowali. – Jakaś starsza kobieta pociągnęła nosem.

I mężczyzna:

– Zostawiłem kluczyki w stacyjce. Chyba pójdę...

– Nigdzie nie pójdziesz, Erik! – To ta młodsza. –

O Boże, jaki z ciebie tchórz!

– Ależ, moja droga, samochód...

– Stoi na cmentarzu, Erik. Jak myślisz, co tu się może



stać?

Wyjrzałem przez dziurkę z boku.

Miałem nadzieję, że Daniel Hoffmann przyjdzie sam. A ich było czworo i wszyscy stali po tej samej stronie trumny, zwróceny w moją stronę. Mężczyzna w wieku Daniela, z dużą łysiną na czubku głowy. Niepodobny. Może szwagier. Zgadzało się to z dwiema osobami stojącymi obok, trzydziestoletnią kobietą i dziesięcio- czy dwunastoletnią dziewczynką. Młodsza siostra i siostrzenica. Podobieństwo dostrzegłem u starszej siwowłosej pani. Właściwie jakby skóra zdjęta z Daniela. Starsza siostra? Młoda matka?

Ale Daniela Hoffmanna nie było.

Tłumaczyłem sobie, że przyjdzie osobno. Nawet byłoby to dziwne, gdyby cała rodzina zjawiała się jednocześnie.

Potwierdził to szwagier w wianku z włosów, nerwowo patrząc na zegarek.

– A przecież plan był taki, że Benjamin przejmie wszystko po ojcu. Co Daniel teraz robi?

– Mamo! – syknęła ostrzegawczo młodsza z kobiet.

– Nie udawaj, że Erik nie wie.

Erik opuszczał i podnosił barki obciążone marynarką, kołysząc się na piętach.

– Tak, tak, wiem, czym Daniel się zajmuje.

– No to wiesz też, jak bardzo jest chory.

– Elise coś o tym wspominała. No ale my nie mamy zbyt wiele wspólnego z Danielem. Ani z tą... hm...

- ...Coriną – dokończyła Elise.
- Może najwyższa pora, żebyście zaczęli częściej się z nim widywać – stwierdziła starsza pani.
- Mamo!
- Mówię tylko, że nie wiadomo, jak długo dane nam będzie zatrzymać Daniela.
- Nie mamy zamiaru w ogóle mieć do czynienia z tym, czym zajmuje się Daniel. Zobacz, co spotkało Benjamina.

– Cicho!

Kroki na schodach.

Weszły dwie osoby.

Jeden mężczyzna uściskał starszą panią. Bez słowa skinął głową młodszej kobiecie i jej mężowi.

Daniel Hoffmann.

A razem z nim Pine, który wyjątkowo trzymał głowę na kłódkę.

Stanęli między nami a trumną. Odwróceni do nas tyłem. Idealnie. Jeśli sądzę, że jakaś sztuka, która ma być zlikwidowana, może być uzbrojona, jestem skłonny nadłożyć drogi, żeby tylko znaleźć się w odpowiedniej pozycji, by strzelić jej w plecy.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści pistoletu.

Czekałem.

Czekałem na faceta w niedźwiedziej czapie.

Nie przyszedł.

Został przed kościołem.

Początkowo ułatwi to sprawę, ale pozostanie problem,

z którym trzeba będzie później się uporać.

Mój sygnał dla Duńczyka i Kleina był prosty: miałem krzyknąć.

I nie było ani jednego logicznego powodu na całym świecie, aby nie mogło to nastąpić właśnie teraz. Mimo to jakby istniał najwłaściwszy moment, sekunda wciśnięta między wszystkie inne sekundy. Tak jak z kijkiem narciarskim i moim ojcem. Jak z książką, w której autor decyduje o tym, kiedy coś się wydarzy. Już wiesz, że to się stanie, bo pisarz już to zapowiedział, ale jeszcze się nie stało. W każdej historii bowiem istnieje odpowiednie miejsce, więc trzeba trochę poczekać. Rzeczy muszą nastąpić we właściwej kolejności. Zamknąłem oczy, poczułem tykanie, naprężającą się sprężynę, kroplę, która wciąż drga na końcu sopla lodu.

Ten moment wreszcie przyszedł.

Krzyknąłem i zrzuciłem pokrywę.

Było jasno. Jasno i dobrze. Matka powiedziała mi, że miałem wysoką gorączkę, a lekarz, który przyszedł, podkreślał, że muszę kilka dni spędzić w łóżku i pić dużo wody. Mówił jednak, że to nic groźnego. Wtedy zrozumiałem, że się martwiła. Ja natomiast się nie bałem. Było mi dobrze. Nawet kiedy zamykałem oczy, było jasno, czerwona ciepła poświata przedzierała się przez powieki. Dostałem do dyspozycji duże łóżko matki i czułem się tak, jakby przez pokój przechodziły pory roku. Łagodna wiosna zmieniła się w upalne lato z potem spływającym z czoła niczym letni deszcz i z prześcieradłem lepiącym się do ud, wreszcie ulgę przyniosła jesień z przejrzystością w powietrzu i w głowie. Potem nagle znów była zima, szcęknięcie zębami i unoszenie się między snem, marzeniami a rzeczywistością.

Matka poszła do biblioteki i wypożyczyła dla mnie książkę. *Nędzników* Wiktora Hugo. Wydanie skrócone, napisano na okładce pod ilustracją przedstawiającą Kozetę jako dziecko. Oryginalny rysunek Émile'a Bayarda.

Czytałem i marzyłem. Marzyłem i czytałem. Dodawałem i odejmowałem. Nie wiedziałem już, co zmyślił autor, a co zmyśliłem sam.

Wierzyłem w tę historię. Nie wierzyłem tylko, że Wiktor Hugo opowiedział, jak było naprawdę.

Nie wierzyłem, że Jean Valjean ukradł chleb i dlatego poszedł siedzieć. Podejrzywałem, że Wiktor Hugo nie chciał ryzykować, a uważał, że czytelnicy przestaną kibicować bohaterowi, jeśli opowie prawdę. A prawda była taka, że Jean Valjean kogoś zabił. Że był mordercą. Ale Jean Valjean to dobry człowiek, więc ten, kogo zabił, z całą pewnością na to zasłużył. Tak, właśnie tak musiało być. Jean Valjean zabił kogoś, kto popełnił błąd i musiał za to zapłacić. Cała ta kradzież chleba tylko mnie irytowała. Ułożyłem więc tę historię od nowa. O wiele lepiej.

A zatem: Jean Valjean był niebezpiecznym zabójcą poszukiwanym w całej Francji. Zakochał się w Fantynie, nieszczęsnej dziwce. Zakochał się tak, że był gotów uczynić dla niej wszystko. Wszystko, co dla niej robił, robił z miłości, z szaleństwa, z uwielbienia. Nie po to, by ratować własną duszę czy też z miłości do ludzi. On uległ urodzie. Właśnie tak. Podporządkował się i był posłuszny pięknu tej zniszczonej, umierającej bezzębnej łysej dziwki. Widział piękno tam, gdzie inni nie umieli go dostrzec. Właśnie dlatego należało ono tylko do niego. A on do tego piękna.

Gorączka zaczęła ustępować dopiero po dziesięciu dniach. Mnie minęły jak jeden. Kiedy wróciłem do świata, matka siedziała na brzegu łóżka, głaskała mnie po czole, popłakując i mówiąc, jak mało

brakowało.

Powiedziałem jej, że byłem w takim miejscu, do którego pragnę wrócić.

– Ach, nie! Nie mów tak, Olav, kochany!

Domyśliłem się, jak to zrozumiała. A przecież sama miała miejsce, do którego zawsze chciała wracać, do którego podróżowała pocztą butelkową.

– Ale ja wcale nie chcę umrzeć, mamó. Ja tylko chcę zmyślać.

## 18

Uniosłem się na kolana, ściskając pistolet w obu rękach.

Zobaczyłem, że Pine i Hoffmann odwracają się jak na zwolnionym filmie.

Strzeliłem Pinemu w plecy, przyspieszając ten jego rozpoczęty piruet. Dwa strzały. Z brązowej kurtki wyleciały białe piórka i zatańczyły w powietrzu jak śnieg. Zdążył wyciągnąć broń zza pazuchy i nawet zaczął strzelać, ale nie zdołał unieść ręki. Kule trafiały w podłogę, w ściany, rykoszetowały ze świstem w kamiennym pomieszczeniu.

Klein zsunął wieko trumny stojącej obok mojej, ale ciągle leżał. Pewnie nie podobało mu się takie gradobicie. Duńczyk wy dostał się na zewnątrz i wycelował w Hoffmanna, ale ponieważ jego trumnę ustawiono przy krótszej ścianie, miał mnie na linii strzału tuż za Hoffmannem. Cofnąłem się, jednocześnie mierząc do Hoffmanna. On jednak okazał się zaskakująco szybki. Skoczył na główkę za trumnę syna, prosto na dziewczynkę, pociągając ją za sobą przy upadku w stronę dłuższej ściany i chroniąc się za resztą członków rodziny, którzy stali z rozdziawionymi gębami jak słupy soli.

Pine leżał pod stołem z trumną Benjamina Hoffmanna, rękę z pistoletem miał sztywno odsuniętą

od ciała niczym radar, nad którym nie miał już kontroli. Przesuwał ją, strzelając na oślep. Krew, szpik kostny i beton. Glock. Spora ilość kul. Jedynie kwestią czasu pozostawało, kiedy którą w kogoś trafi. Posłałem mu więc jeszcze jedną. Kopnąłem w trumnę Kleina, znów mierząc do Hoffmanna. Miałem go na muszce. Siedział oparty plecami o ścianę, z dziewczynką na kolanach. Jedną ręką obejmował ją przez szczupłą pierś, w drugiej trzymał pistolet wycelowany w skroń dziecka. Mała siedziała nieruchomo, wpatrywała się tylko we mnie piwnymi oczami bez jednego mrugnięcia.

– Erik... – To odezwała się siostra. Patrzyła na brata, ale zwracała się do męża.

A mężczyzna z fryzurą jin-jang wreszcie zareagował. Niepewnym krokiem ruszył w stronę szwagra.

– Nie zbliżaj się, Erik! – ostrzegł Daniel. – Tym ludziom nie chodzi o was.

Ale Erik się nie zatrzymał, dalej parł do przodu jak zombie.

– Do diabła! – wrzasnął Duńczyk, siłując się z pistoletem, który nie chciał wystrzelić. Kula się zablokowała. Pieprzony amator.

– Erik – powtórzył Daniel i wycelował w szwagra.

Ojciec wyciągnął ręce do córki. Zwilżył wargi.

– Bertine...

Daniel wypalił. Szwagier wygiął plecy w łuk. Musiał dostać w brzuch.

– Wyjdźcie stąd, bo inaczej zastrzelę dziewczynkę! –



ryknął Hoffmann.

Usłyszałem obok siebie ciężki oddech. To był Klein. Wstał wreszcie i uniósł strzelbę z odciętą lufą, mierząc w Hoffmanna. Przeszkadzał mu jednak stół z trumną Hoffmanna juniora, musiał więc zrobić krok do przodu, żeby mieć wolną linię strzału.

– Odejdźcie, bo inaczej ją zastrzelę! – Daniel Hoffmann krzyczał teraz falsetem.

Lufa obrzyna się obniżyła, ustawiła mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a Klein się odchylił, oddalił od niej, jakby się bał, że wybuchnie mu w twarz.

– Nie – powiedziałem. – Nie, Klein!

Zobaczyłem, że zaczyna mrugać, jak zwykle człowiek, który wie, że zaraz nastąpi huk, chociaż jeszcze nie wie kiedy.

– *Sir!* – zawołałem, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z Hoffmannem. – *Sir*, proszę odsunąć dziewczynkę!

Hoffmann posłał mi takie spojrzenie, jakby pytał, czy mam go za idiotę.

Cholera, to nie tak się miało odbyć.

Zdążyłem zrobić krok w stronę Kleina.

Huk wystrzału ze strzelby zaświdrował w uszach. Pod sufit uniosła się chmura dymu. Krótka lufa, duży rozrzut.

Na białej bluzce dziewczynki pojawiły się duże czerwone kropki, bok szyi miała skaleczony, a twarz Daniela Hoffmanna jakby stanęła w ogniu. Ale oboje

żyli. Pistolet Hoffmanna zatańczył na betonowej podłodze, a wtedy Klein przechylił się ponad stojącą na stole trumną i wyciągnął rękę, tak że lufa oparła się na ramieniu dziewczynki, a jej wylot dotknął nosa Hoffmanna, który rozpaczliwie usiłował kryć się za dzieckiem. Klein strzelił jeszcze raz. Śrut wbił twarz Hoffmanna do wnętrza czaszki.

Klein odwrócił się w moją stronę z grymasem szaleństwa.

– Jedna sztuka! To była dla ciebie jedna sztuka, ty draniu?

Stałem gotowy strzelić mu w głowę, gdyby wycelował we mnie, chociaż wiedziałem, że w strzelbie są teraz tylko dwie puste komory. Spojrzałem na Hoffmanna. Głowa zapadła mu się pośrodku jak jabłko, które spadło z drzewa, bognięło od pestki. Zlikwidowany. Co z tego? I tak miał umrzeć. Wszyscy umrzemy. Ale przynajmniej go przeżyłem.

Złapałem dziewczynkę, ściągnąłem Hoffmannowi z szyi kaszmirowy fular i obwiązałem nim szyję dziecka, z której leciała krew. Mała dalej wpatrywała się we mnie oczami, w których widziało się tylko źrenice. Przez cały czas nie odezwała się ani jednym słowem. Wysłałem Duńczyka na schody, żeby sprawdził, czy nikt nie idzie, a babci kazałem przyciskać rękę do dziury w szyi wnuczki, aby powstrzymać najgorszy krwotok. Zobaczyłem, że Klein wkłada dwa nowe naboje do tego swojego piekielnego narzędzia. Nie opuszczałem

pistoletu.

Siostra leżała obok męża, który ściszone głosem monotennie wył z ręką przyciśniętą do brzucha. Słyszałem, że kwas solny z żołądka w ranie to prawdziwe piekło, przypuszczałem jednak, że przeżyje. No ale dziewczynka... Niech to szlag. Co ona komu zrobiła?

– Co dalej? – spytał Duńczyk.

– Siedzimy cicho i czekamy.

– Na co? – prychnął Klein. – Na gliny?

– Czekamy, aż usłyszymy ruszający i odjeżdżający samochód. – Pamiętałem to spokojne skupione spojrzenie pod niedźwiedzią czapą. Mogłem mieć nadzieję, że gość nie wykaże się zbyt zapałem na służbie.

– Grabarz...

– Zamknij się!

Klein patrzył na mnie. Lufa strzelby odrobinę się uniosła. Zaraz jednak zauważył, w co celuje mój pistolet, i lufa znów opadła. A on się zamknął.

Ale nie zamknął się kto inny. Spod stołu dobiegły słowa:

– Kurwa, kurwa, kurwa, w dupę pierdolona...

Przez chwilę myślałem, że facet nie żyje, że to tylko jego gęba nie chce umilknąć, tak jak ciało węża przeciętego w połowie potrafi więc się jeszcze przez dobę. Gdzieś tak czytałem.

– Kurwa jego zajebana mać.

Kucnąłem przy nim.

Pochodzenie przezwiska Pinego<sup>[2]</sup> stanowiło przyczynek do dyskusji. Niektórzy uważali, że został tak nazwany, ponieważ wiedział, jak zrobić krzywdę swoim paniom, kiedy źle się wywiązywały z obowiązków, a przy tym znał takie miejsca na ciele, w których ból był wyjątkowo dotkliwy, szkoda niewielka, a jednocześnie blizny nie szpeciły towaru w znaczący sposób. Inni uważali, że Pine to z angielskiego „sosna”, ponieważ miał takie długie nogi. W tej chwili wyglądało na to, że Pine zabierze tę tajemnicę do grobu.

– O jasna cholera i wszyscy święci, jak to kurewsko napierdala, Olav!

– To raczej nie potrwa długo, Pine.

– Nie? O kurwa! Dasz mi papierosa?

Wyjąłem mu papierosa z za ucha i wsunąłem między drżące wargi. Papieros zaczął podskakiwać, ale nie wypadł mu z ust.

– O-o-ogień – wyjąkał.

– *Sorry*, rzuciłem palenie.

– Mą-mądrze. Po-pożyjesz dłużej.

– Nie ma gwarancji.

– No nie, kurwa, to jasne. Mo-możesz przecież jutro wpaść pod samochód.

Pokiwałem głową.

– Kto stoi na zewnątrz?

– Strasznie się spo-spociłeś, Olav. Ciepło się ubrałeś czy taki stres?

– Odpowiadaj!  
– A co dostanę za tę info-formację?  
– Dziesięć milionów koron bez podatku. Albo ogień do papierosa, twój wybór.

Pine się roześmiał. Zakasłał.

– Tylko Rusek. Ale wydaje mi się, że on jest do-dobry. Chyba zawodowy wojskowy czy coś takiego. Nie wiem, rzadko się odzywa, bie-biedaczek.

– Broń?

– O rany, no pe-pewnie.

– Co to znaczy? Automatyczna?

– To jak będzie z tymi za-zapałkami?

– Później, Pine.

– Miej litość nad szubienicznikiem, Olav. – Wykasłał trochę krwi na moją białą koszulę. – Będzie ci się przez to lepiej spało.

– Tak jak tobie się lepiej spało, kiedy zmuszałeś tamtą głuchoniemą dziewczynę, żeby się puszczała za długi swojego faceta?

Pine puścił do mnie oko. Wzrok miał przytomny, jakby pozbył się jakiegoś ciężaru.

– Aha, o nią chodzi – powiedział cicho.

– No właśnie, o nią.

– Ale ty się po-po-pomyliłeś, Olav.

– Czyżby?

– Sama do mnie przyszła. To ona chciała spłacić je-je-go dług.

– Ona?

Pine kiwnął głową. Sprawiał wręcz wrażenie, że dochodzi do siebie.

– Właściwie odmówiłem. No wiesz, nie była specjalnie ładna. No i kto się zgodzi zapłacić dziewczynie, która nie słyszy, o co ją prosisz? Przyjąłem ją tylko dlatego, że się upierała. No ale to jasne, że skoro już raz wzięła na siebie jego długi, to przeszły na nią, co nie?

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Niech to szlag. Ktoś wymyślił nową wersję historii. Moja była lepsza.

– Duńczyk! – zawołałem w stronę drzwi. – Masz ogień?

Przełożył pistolet do lewej ręki, nie odrywając oczu od schodów, i prawą wyciągnął zapalniczkę. Wszyscy jesteśmy świrami mającymi swoje przyzwyczajenia. Rzucił mi ją. Chwyciłem w powietrzu. Szorstki zgrzyt. Podsunąłem żółty płomień pod papieros. Czekałem, aż ogień zostanie wessany w tytoń, ale palił się prosto. Odczekałem jeszcze chwilę, w końcu cofnąłem kciuk, dopływ gazu się zamknął i ogień zgasł.

Rozejrzałem się. Krew i jęki. Każdy był zajęty sobą. Z wyjątkiem Kleina, który był zajęty mną. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Idziesz pierwszy – powiedziałem.

– Co?

– Pierwszy idziesz po schodach.

– Dlaczego?

- Co chcesz usłyszeć? Dlatego że masz strzelbę?
- Mogę ci ją oddać.
- Nie o to chodzi. Po prostu mówię, że masz iść pierwszy. Nie chcę cię mieć za plecami.
- Co jest, do cholery? Nie ufasz mi czy jak?
- Ufam ci na tyle, że masz iść przodem. – Nie chciało mi się nawet udawać, że w niego nie celuję. – Duńczyk, odsuń się! Klein wychodzi.

Klein długo na mnie patrzył.

- Jeszcze za to oberwiesz, Johansen.

Zrzucił buty i szybko wszedł na schody. Zgięty w pół skradał się w półmroku po kamiennych stopniach.

Śledziliśmy go wzrokiem. Widzieliśmy, jak jednym ruchem gwałtownie się prostuje, wystawiając głowę nad schody, i od razu kuca z powrotem. Najwyraźniej nikogo nie zobaczył, bo znów się wyprostował i skradał dalej, trzymając strzelbę w obu rękach na wysokości piersi, jak jakiś pieprzony gitarzysta z Armii Zbawienia. Stał na szczycie schodów, odwrócił się do nas i gestem dał nam znak, żebyśmy szli za nim.

Powstrzymałem Duńczyka.

- Zaczekaj chwilę – szepnąłem. Policzyłem do dwóch. Strzał huknął, kiedy dotarłem do półtora.

Kula dosięgła Kleina i uniosła go ponad krawędź schodów.

Wylądował w połowie i zaczął się zsuwać w naszą stronę, już tak martwy, że w całym ciele nie został ani jeden napięty mięsień. Spadał pod wpływem siły

ciążenia, niczym falujący kawałek świeżego mięsa.

– Cholera, niech to... – szepnął Duńczyk, patrząc na zwłoki leżące przy naszych nogach.

– Hej! – zawołałem. Moje powitanie odbiło się echem od ścian, jakby ktoś na nie odpowiadał. – *Your boss is dead! Job is over! Go back to Russia! No one is gonna pay for any more work here today!*

Czekałem. Szepnąłem do Duńczyka, żeby poszukał u Pinego kluczyków do samochodu. Przyniósł je, a ja rzuciłem je wysoko na schody, tak że zniknęły w głębi korytarza.

– *We are not coming out until we hear the car leaving!*  
– krzyknąłem.

Czekałem.

W końcu padła odpowiedź łamaną angielszczyzną:

– *I don't know boss is dead. Maybe prisoner. Give me boss, I will leave and you will live.*

– *He is very dead! Come down and see!*

– Ha, ha! *I want my boss come with me.*

Spojrzałem na Duńczyka.

– Co dalej? – spytał, jakby powtarzał jakiś cholerny refren.

– Odcinamy głowę.

– Co?

– Wracamy i odcinamy głowę Hoffmannowi. Pine ma nóż z piłką.

– Hm... któremu Hoffmannowi?

Czy był idiotą?



– Danielowi. Głowa to nasz bilet do wyjścia, rozumiesz?

Zobaczyłem, że nie rozumie. Ale przynajmniej usłuchał.

Zostałem w drzwiach, obserwując schody i słuchając ściszonych rozmów ze środka. Brzmiały tak, jakby wszystko tam się uspokoilo. Zaryzykowałem i sprawdziłem, co myślę. Jak zwykle w sytuacjach stresowych myślałem o niepotrzebnych drobiazgach. Na przykład o tym, że Kleinowi w trakcie spadania podwinęła się marynarka, a wszyta wewnątrz metka świadczyła o tym, że to wypożyczony garnitur, ale było w nim teraz tyle dziur od strzałów, że raczej nikt go nie przyjmie z powrotem. I że to w zasadzie niezła logistyka: ciała Hoffmannów, Pinego i Kleina już znajdowały się w kościele i nawet czekały na nie gotowe trumny. Że w samolocie dostałem miejsca przed skrzydłem, dla Coriny przy oknie, żeby mogła widzieć Paryż, gdy będziemy podchodzić do lądowania. I jeszcze parę bardziej przydatnych myśli. Co robi w tej chwili chłopak z naszym samochodem? Czy ciągle na nas czeka na drodze pod kościołem? Słyszał strzały? Na koniec te z broni automatycznej, której nie mieliśmy w arsenale?

Jeśli ostatni strzał, który słyszysz, pochodzi z broni wroga, to zawsze oznacza złą nowinę. Chłopak dostał jasne rozkazy, ale czy potrafił zachować zimną krew? Czy ktoś jeszcze w sąsiedztwie słyszał strzelaninę

i gdzie w tym wszystkim był grabarz? Robota znacznie się przeciągnęła, więc ile jeszcze mamy czasu, zanim naprawdę będziemy musieli stąd wyjść?

Duńczyk stanął w drzwiach. Twarz miał bladą. Ale nie tak bladą jak ta na głowie, która zwisała mu z ręki. Stwierdziłem, że to właściwy Hoffmann, i dałem znak, że ma go rzucić na górę.

Duńczyk kilka razy zakręcił głową, wziął krok rozbiegu, zamachnął się jak kręglarz i puścił. Głowa poszybowała z rozwianym włosiem, ale kąt był trochę za szeroki, bo uderzyła w sufit. Spadła na schody i podskakując, wróciła do nas, wydając przy tym odgłos podobny do tego, który powstaje, kiedy się stuka łyżeczką w ugotowane na twardo jajko.

– Muszę lepiej wycelować – stwierdził Duńczyk. Znów chwycił głowę, złączył nogi i zamknął oczy w skupieniu, kilka razy głęboko oddychając. Zrozumiałem, że docieram do jakiejś granicy psychicznej, bo mało brakowało, a wybuchnąłbym śmiechem. W końcu otworzył oczy, zrobił dwa kroki do przodu, zamachnął się i puścił. Cztery i pół kilograma ludzkiego ciała poszybowało łagodnym łukiem na szczyt schodów, uderzyło o podłogę i, jak słyszeliśmy, potoczyło się w głąb korytarza.

Duńczyk odwrócił się do mnie z triumfalnym uśmiechem, ale nic nie powiedział.

Czekaliśmy. I czekaliśmy.

W końcu usłyszeliśmy zapuszczany silnik.

Przygazował. Skrzynia biegów paskudnie beknęła. Wsteczny i kolejne beknięcie. Za wysokie obroty na pierwszym biegu. Kierowca nieznający tego samochodu odjechał.

Popatrzyłem na Duńczyka. Nadał policzki i wypuścił powietrze, cały czas potrząsając prawą ręką, jakby się o coś sparzył.

Nasłuchiwałem. Nasłuchiwałem uważnie. I chyba to wyczułem, jeszcze zanim usłyszałem. Syreny policyjne. W zimnym powietrzu dźwięk świetnie się roznosi. Mogła minąć jeszcze dobra chwila, zanim tu będą.

Spojrzałem za siebie. Zobaczyłem dziewczynkę na kolanach u babci. Nie dało się stwierdzić, czy mała oddycha, ale sądząc po barwie jej skóry, nie zostało w niej już ani trochę krwi. Musiałem się starać, żeby teraz o tym nie myśleć. Przed wyjściem obrzuciłem wzrokiem całe pomieszczenie. Rodzina, śmierć, krew. Przypomniało mi to pewne zdjęcie. Trzy hieny i zebkę z rozplatanym brzuchem.

## 19

To nieprawda, że nie pamiętam, co mówiłem do niej, jadąc kolejką. Nie pamiętam, czy powiedziałem, że nie pamiętam, ale zamierzałem tak powiedzieć. W każdym razie pamiętam. Mówiłem, że ją kocham. Tylko po to, żeby poczuć, jak to jest, kiedy tak się do kogoś mówi. Trochę jak ze strzelaniem do celu w kształcie ludzkiej postaci. To oczywiście nie to samo, ale mimo wszystko czym innym jest strzelanie do zwykłych okrągłych rzutek. Wcale tak przecież nie myślałem, podobnie jak nie chciałem zabić tych sylwetek stanowiących cel. To był po prostu trening. Przyzwyczajanie się. Któregoś dnia mogłem przecież spotkać kobietę, którą pokocham i która pokocha mnie, a wtedy dobrze by było, żeby te słowa nie uwięzły mi w gardle. Przecież Corinie na razie jeszcze nie powiedziałem, że ją kocham. Przynajmniej głośno. Z przejęciem. Bez możliwości odwrotu, olewając wszystko i pozwalając, by echo tych słów wypełniło pokój, napompowało ciszę, która rozděłaby się w końcu, rozpychając ściany. Mówiłem to tylko Marii w tym miejscu, gdzie tory się łączyły. Albo rozdzielały. Jednak myśl o tym, że wkrótce powiem to Corinie, sprawiała, że serce o mało mi nie wybuchło. Czy powiem to dziś wieczorem? Czy w samolocie do Paryża? A może w paryskim hotelu? Przy obiedzie?

Tak. Tak będzie idealnie.

Właśnie o tym myślałem, kiedy razem z Duńczykiem wyszliśmy z kościoła i odetchnąłem głęboko mroźnym zimowym powietrzem, które ma smak soli, dopóki lód nie skuje fiordu. Syreny policyjne już było słychać, ale z daleka. Pojawiały się i cichły jak źle ustawiona radiostacja. Na razie jeszcze tak odległe, że nie dawało się stwierdzić, z której strony dochodzi dźwięk.

Widziałem przednie reflektory czarnej ciężarówki przy drodze za ogrodzeniem kościoła.

Szedłem drobnymi szybkimi krokami po zwałach lodu, lekko uginając kolana. W Norwegii człowiek uczy się tego sposobu chodzenia już jako dziecko. W Danii chyba nie tak wcześnie, bo u nich nie ma tyle śniegu i lodu. Może dlatego miałem wrażenie, że Duńczyk zwalnia. Ale skąd mogłem wiedzieć. Może Duńczyk chodził po lodzie częściej niż ja. Tak mało o sobie wiemy. Widzimy okrągłą miłą twarz, serdeczny uśmiech, słyszymy jowialne duńskie słowa, które nie zawsze są dla nas zrozumiałe, ale jednak smarują przewody uszne i uspokajają nerwy, wymyślamy więc sobie jakąś historyjkę o duńskich kiełbaskach, duńskim piwie, duńskim słońcu i powolnym, jakby toczącym się na środkach uspokajających życiu w tej płaskiej krainie wieśniaków na południu. To wszystko jest takie przyjemne, że opuszczamy gardę. Ale co ja tam wiem. Może Duńczyk zlikwidował więcej osób, niż mnie

kiedykolwiek będzie dane? Skąd zresztą wzięła się teraz ta myśl? Pewnie dlatego, że nagle poczułem, jakby czas znów na coś czekał. Na jakąś kolejną sekundę wciśniętą między inne, w której sprężyna znów się napięła. Chciałem się odwrócić, ale nie zdążyłem.

Nie mogłem go obwiniać. Jak już mówiłem, sam jestem skłonny iść okrężną drogą, aby zająć pozycję odpowiednią do strzelenia uzbrojonej sztuce w plecy.

Wystrzał poniósł się hukiem po cmentarzu.

Pierwszą kulę poczułem jako ucisk na plecach. Następną jak zęby, które wbijają się w udo. Strzelił do mnie nisko, tak samo jak ja do Benjamina. Upadłem do przodu. Brodą uderzyłem o oblodzoną ziemię. Obróciłem się i zobaczyłem lufę jego pistoletu.

– Cholernie mi przykro, Olav – powiedział. – To nie ma żadnych osobistych pobudek.

Strzelił mi nisko w plecy, żeby móc mi to powiedzieć.

– Bystry ten Rybak – szepnąłem. – Wiedział, że będę miał oko na Kleina, więc zlecił to tobie.

– Chyba masz rację, Olav.

– Ale dlaczego chce mnie zlikwidować?

Duńczyk wzruszył ramionami. Syreny policyjne były już blisko.

– Pewnie chodzi o to, co zwykle – stwierdziłem. – Szefowie nie lubią zachowywać przy życiu tych, którzy mają na nich jakiegoś poważnego haka. Ty też powinieneś o tym pomyśleć, Duńczyk. Należy wiedzieć, kiedy trzeba spadać.

- To nie dlatego, Olav.
- Rozumiem. Rybak to szef, a szefowie boją się tych, którzy nie boją się likwidacji swoich szefów. Od razu wydaje im się, że to ich kolej.
- To nie dlatego, Olav.
- Do diabła, nie widzisz, że się tu wykrwawiam, Duńczyk? Możemy przestać się bawić w te zgadywanki? Duńczyk odchrząknął.
- Rybak powiedział, że trzeba być cholernie zimnym biznesmenem, żeby nie czuć urazy do kogoś, kto zlikwidował trzech twoich ludzi.
- Wycelował we mnie. Palec zagiął się na cynglu.
- Jesteś pewien, że masz jeszcze kulę w magazynku? Kiwnął głową.
- Ostatnie gwiazdkowe życzenie, Duńczyk. Tylko nie w twarz. Bardzo cię proszę.
- Zauważyłem, że się zawahał. W końcu znów kiwnął głową. Lekko przesunął lufę. Zamknąłem oczy. Usłyszałem huk. Jeden, potem drugi. Poczuję uderzenie kul. Dwa ołowiane pociski. W miejscu, w którym normalni ludzie mają serce.

## 20

„Żona mi zrobiła” – powiedział. „Na *Spektakl o świętym Olafie*”.

Żelazne ogniwka splecione ze sobą. Ile tysięcy mogło ich być? Tak jak wspominałem, wziąłem coś w zamian od tej wdowy. Kolczugę. Nic dziwnego, że Pine zobaczył, jak się pocę. Pod garniturem i koszulą byłem ubrany jak jakiś cholerny święty król.

Żelazna koszulka ładnie zatrzymała strzały w plecy i w pierś. Gorzej było z udem.

Czułem, że krew wali ze mnie, kiedy leżałem nieruchomo, patrząc, jak tylne światła ciężarówki zapalają się, a potem znikają w mroku nocy. Spróbowałem podnieść się na nogi. W oczach mi pociemniało, ale jakoś wstałem i powlokłem się w kierunku volva zaparkowanego przed drzwiami kościoła. Pieśń syren zbliżała się z każdą sekundą. W chórze była co najmniej jedna karetka. Grabarz najwyraźniej zrozumiał, co się dzieje, kiedy do nich telefonował. Może uda im się uratować dziewczynkę. Może nie. Może mnie się uda uratować siebie, pomyślałem, otwierając drzwiczki volva. Może nie.

Ale szwagier nie okłamał żony. Rzeczywiście zostawił kluczyki w stacyjce.

Wgramoliłem się za kierownicę i przekręciłem



kluczyk. Zapłon jęknął i poddał się z żalem. Niech to piekło pochłonie. Puściłem kluczyk i spróbowałem jeszcze raz. Znowu jęk. Zaskocz, do cholery! Jeżeli jest jakikolwiek sens w produkowaniu samochodów na tym śnieżnym zadupiu, to chyba muszą one zapalać przy kilku nędznych stopniach mrozu! Uderzyłem ręką w kierownicę. Zobaczyłem niebieskie światła kogutów migoczące jak zorza polarna na niebie.

Nareszcie. Dodałem gazu, puściłem sprzęgło i potoczyłem się przez śnieg na lód, opony z kolcami złapały przyczepność i jedynie z lekkim poślizgiem wyrzuciły mnie za bramę cmentarza.

Przejechałem kilkaset metrów willowymi uliczkami, po czym zawróciłem i w ślimaczym tempie znów ruszyłem w kierunku kościoła. Ledwie rozpocząłem tę powrotną drogę, kiedy ujrzałem w lusterku niebieskie światła. Posłusznie wrzuciłem kierunkowskaz i zjechałem na podjazd jakiejś willi.

Minęły mnie dwa radiowozy i jedna karetka. Słyszałem, że zbliża się jeszcze jeden policyjny samochód, więc zaczekałem. Odkryłem, że już tu kiedyś byłem. Niech to szlag. To właśnie tu, przed tym domem, zlikwidowałem Benjamina Hoffmanna.

W oknie salonu wisały ozdoby świąteczne i plastikowe rurki imitujące świece. Rzuciły poświęcę rodzinnej przytulności na bałwana w ogrodzie. A więc temu chłopcu się udało. Może z pomocą wody i ojca. W każdym razie bałwan był zrobiony porządnie.

Wyposażony w męski kapelusz, miał bezsensowny uśmiech z kamieni i ręce z patyków, które wyglądały tak, jakby chciały objąć cały ten pierdolony świat i wszelkie szaleństwo, jakie się na nim działo.

Radiowóz mnie minął, wycofałem samochód na drogę i odjechałem stamtąd.

Więcej radiowozów nie było. Nikt nie zauważył volva, które w desperacji usiłowało jechać normalnie, ale mimo wszystko – i nie dało się w zasadzie stwierdzić dlaczego – jechało inaczej niż wszystkie inne samochody na ulicach Oslo tego wieczoru przed Wigilią.

Zaparkowałem tuż za budką telefoniczną. Zgasiłem silnik. Nogawka spodni i siedzenie wozu nasiąkły krwią. Miałem takie uczucie, jakbym miał w udzie złe serce, które wypompowuje czarną zwierzęcą krew, krew ofiarną, szatańską.

Kiedy otworzyłem drzwi do mieszkania i stanąłem w progu, chwiejąc się na nogach, przerażona Corina wybałuszyła wielkie niebieskie oczy.

– Olav, dobry Boże, co się stało?

– Załatwione.

Zamknąłem drzwi za sobą.

– On... nie żyje?

– Tak.

Pokój zaczął powoli wirować. Ile krwi właściwie straciłem? Dużo. Dwa litry? Nie, czytałem, że mamy

pięć – sześć litrów krwi i mdlejemy po utracie dwudziestu procent. Czyli około... Cholera. W każdym razie mniej niż dwóch.

Zobaczyłem, że jej torba stoi w pokoju na podłodze. Już się spakowała do Paryża. Zabrała to samo, co przyniosła z mieszkania męża. Byłego męża. Ja na pewno wziąłem za dużo rzeczy, ale wcześniej nie jeździłem nigdzie dalej niż do Szwecji. Pojechałem razem z matką na wakacje, kiedy miałem czternaście lat. Samochodem sąsiada. W Göteborgu, jeszcze przed pójściem do wesołego miasteczka Liseberg, sąsiad spytał mnie, czy to w porządku, jeśli spróbuje podrywać moją matkę.

Dzień później matka i ja wróciliśmy do domu pociągiem. Matka pogłaskała mnie po policzku, nazwała swoim rycerzem, jedynym, jaki jeszcze został na całym świecie. To, że wydało mi się, iż słyszę w jej głosie fałszywy ton, wynikało zapewne z tego, że byłem zdezorientowany tym wszystkim, co się działo w chorym świecie dorosłych. Bo tak jak wspominałem, nie jestem muzykalny. I nigdy nie potrafiłem odróżnić czystych tonów od fałszywych.

– Co jest z twoimi spodniami, Olav? Czy to... krew? Na miłość boską, jesteś ranny! Co się stało? – Wyglądała na kompletnie zagubioną i tak roztrzęsioną, że musiałem się roześmiać. Teraz spojrzała na mnie z niedowierzaniem, prawie ze złością.

– O co chodzi? Tak cię śmieszy to, że stoisz tu

i krwawisz jak zarzynana świnia? Gdzie dostałeś?

– Tylko w udo.

– Tylko? Jeśli masz uszkodzoną tętnicę, to niedługo całkiem się wykrwawisz! Olav! Ściągaj spodnie i siadaj na stołku! – Zrzuciła płaszcz i poszła do łazienki.

Wróciła stamtąd z przyborami opatrunkowymi, z plastrem, jodyną i całą resztą.

– Muszę szyć – stwierdziła.

– No dobrze. – Oparłem głowę o ścianę i zamknąłem oczy.

Zabrała się do czyszczenia rany, próbowała zatamować krwotok. Robiąc to, tłumaczyła, że to tylko tymczasowe, bo gdzieś w środku siedzi kula, ale w tej chwili nie da rady nic z tym zrobić.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – spytałem.

– Cicho bądź i siedź spokojnie, bo inaczej szwy puszczą.

– Niezła z ciebie pielęgniarka.

– Nie jesteś pierwszym facetem, który dostał kulę.

– Aha – powiedziałem to opadającym tonem, a więc jako stwierdzenie, a nie pytanie. Bo przecież się nie spieszyło. Mieliśmy dużo czasu na tego rodzaju opowieści. Otworzyłem oczy i spojrzałem na czubek jej głowy, bo klęczała przede mną. Wciągnąłem w nozdrza jej zapach. Coś się w nim zmieniło. Coś się do niego domieszało, do tego przyjemnego zapachu, który bił od Coriny, kiedy była blisko mnie, kiedy była naga i podniecona, kiedy spocona leżała w moich objęciach.

Ten element zapachu nie był mocny, odrobinę przypominał amoniak i prawie się go nie wyczuwało. A jednak był. No oczywiście. To nie jej zapach, tylko mój. Czułem zapach własnej rany. Już zostałem zainfekowany. Już zacząłem gnić.

– Gotowe – oznajmiła i odgryzła nitkę.

Patrzyłem na nią. Bluzka zsunęła jej się z jednego ramienia, a na szyi z boku miała siniak. Nie zauważyłem go wcześniej. To musiała być jeszcze pozostałość po Benjaminie Hoffmannie. Chciałem coś do niej powiedzieć, coś o tym, że to się już nigdy nie powtórzy, że nikt nigdy nie tknie jej nawet palcem. Ale to nie był właściwy moment. Nie zapewnia się kobiety, że jest przy tobie bezpieczna, akurat w chwili, gdy cię fastryguje, żebyś się nie wykrwawił.

Starła krew ręcznikiem namoczonym w letniej wodzie i owinęła mi udo bandażem.

– Wydaje mi się, że masz gorączkę, Olav. Musisz się położyć.

Ściągnęła ze mnie marynarkę i koszulę. Zdumiona popatrzyła na kolczugę.

– Co to jest?

– Zbroja.

Pomogła mi ją zdjąć, palcami lekko pogładziła siniaki pozostawione przez kule Duńczyka. Z czułością, zafascynowana. Pocałowała je. A kiedy leżałem w łóżku, przeczuwając nadciągające dreszcze, opatuliła mnie kołdrą. Wtedy poczułem się dokładnie tak jak

w łóżku mamy. Prawie zapomniałem o bólu. I miałem wrażenie, że mogę zapomnieć o wszystkim, jakby nic już ode mnie nie zależało. Byłem łodzią na rzece i to rzeka decydowała. Los wyznaczono mi odgórnie. Reszta była jedynie podróżą w czasie i tym, co zdołam przeżyć, płynąc wzdłuż brzegów rzeki. Życie jest proste, jeśli tylko jest się dostatecznie chorym.

Zapadłem w świat snu.

Ona mnie niosła, przerzuconego przez ramię. Kiedy biegła, rozlegał się plusk. Było ciemno, cuchnęło kloaką, zakażonymi ranami, amoniakiem i perfumami. Z ulic nad nami dobiegały strzały i krzyki. Przez otwory w studzienkach kanalizacyjnych wpadały smugi światła. Ale jej nic nie mogło powstrzymać. Była odważna i silna. Miała dosyć siły za nas dwoje. I знаła drogę do wyjścia stąd, bo już tu kiedyś była. Tak właśnie mówiła ta historia. Zatrzymała się na skrzyżowaniu kanałów, położyła mnie na ziemi, powiedziała, że musi zrobić mały rekonesans i niedługo wróci. A ja leżałem na plecach, słyszałem hałasujące szczury i wpatrywałem się w księżyc widoczny między kratkami pokrywy studzienki. Wisiały na nich krople, drżały, migotały w blasku księżyca. Czerwone, wilgotne, gęste krople. Odrywały się i spadały na mnie. Uderzały mnie w pierś, przenikały przez kolczugę i docierały do serca. Ciepłe, zimne. Ciepłe, zimne. Zapach...

Otworzyłem oczy.

Wymówiłem jej imię. Nikt nie odpowiedział.

– Corina?

Usiadłem w łóżku. W udzie pulsowało, jakby zaraz miało je rozsadzić. Z wysiłkiem spuściłem nogę poza krawędź łóżka i zapaliłem światło. Wzdrygnąłem się. Udo spuchło tak, że wyglądało to wręcz przerażająco. Jakby rana wciąż krwawiła, lecz cała krew zebrała się pod skórą i bandażem.

W blasku księżyca zobaczyłem jej torbę na środku pokoju. Płaszcz z krzesła zniknął. Wstałem i pokuśtykałem do kuchennego blatu. Wyciągnąłem szufladę, podniosłem pojemnik na sztućce.

Kartki wciąż tam leżały, w kopercie, nietknięte.

Zabrałem kopertę do okna. Termometr za szybą pokazywał, że temperatura wciąż spada.

Wyjrzałem.

Była tam. Po prostu wyszła się przejść.

Stała w budce telefonicznej, przygarbiona, plecami zwrócona do ulicy, ze słuchawką przycisniętą do ucha.

Pomachałem, chociaż wiedziałem, że mnie nie widzi.

Cholera, ależ to udo boli!

Odwiesiła słuchawkę. Cofnąłem się o krok od okna, tak żeby nie stać w świetle. Wyszła z budki, widziałem, że zadziera głowę i patrzy w moją stronę. Stałem zupełnie nieruchomo. Ona także. W powietrzu unosiły się pojedyncze płatki śniegu. Ruszyła. Stawiała stopy z wyprostowaną kostką. Jedną stopę tuż przed drugą. Jak tancerka na linie. Przecięła ulicę, wracając do mnie.

Widziałem ślady na śniegu. Kocie. Tylne łapy na tych samych śladach co przednie. Ukośnie padające światło latarni sprawiało, że brzegi śladów rzucały lekki cień. Tak mało trzeba. Tak mało...

Kiedy wemknęła się z powrotem do mieszkania, znów leżałem w łóżku z zamkniętymi oczami.

Zdjęła płaszcz. Miałem nadzieję, że zdejmie również resztę i wsunie się do mnie do łóżka. Obejmie mnie na chwilę. Tylko tyle. Drobnie pieniądze wydane jako reszta to również pieniądze. Bo wiedziałem już teraz, że nie weźmie mnie na plecy i nie poniesie kanałami. Nie ocali mnie. I nie pojedziemy do Paryża.

Zamiast położyć się obok mnie, po ciemku usiadła na krześle. Czuwała. Czekwała.

– On przyjedzie niedługo? – spytałem.

Zobaczyłem, że drgnęła.

– Nie śpisz?

Powtórzyłem pytanie.

– O kim ty mówisz, Olav?

– O Rybaku.

– Masz gorączkę. Spróbuj się przespać.

– To do niego dzwoniłaś z budki.

– Olav...

– Po prostu chcę wiedzieć, ile mam czasu.

Siedziała ze spuszczoną głową, twarz miała w cieniu. W końcu odezwała się innym, nowym głosem. Twardszym. Ale mimo wszystko nawet w moich uszach zabrzmiał czyściej.



– Jakieś dwadzieścia minut.

– W porządku.

– Skąd wiedziałaś...

– Amoniak. Płaszczka.

– Co?

– Zapach amoniaku utrzymuje się na skórze, jeśli się miało kontakt z płaszczką. Zwłaszcza zanim ryba zostanie wypatroszona i obdarta ze skóry. Gdzieś czytałem, że w mięsie płaszczyk odkłada się kwas moczowy, tak jak u rekinów. Ale co ja tam wiem.

Corina popatrzyła na mnie z nieobecnym uśmiechem.

– Rozumiem.

Kolejna pauza.

– Olav?

– Tak?

– To nie ma...

– ...pobudek osobistych?

– Właśnie.

Poczułem, że szwy puszczają. Rozniósł się smród zakażonej rany i ropy. Położyłem rękę na udzie. Opatrunek przesiąkł, ale w środku wciąż panowało wysokie ciśnienie. Wciąż jeszcze dużo musiało się wydostać.

– Co wobec tego? – spytałem.

Westchnęła.

– Czy to ważne?

– Lubię opowieści – powiedziałem. – Mam dwadzieścia minut.

– To nie ma związku z tobą, tylko ze mną.  
– A z czym ty masz związek?  
– No właśnie, z czym ja mam związek?  
– Daniel Hoffmann był umierający. Wiedziałaś o tym, prawda? Że Benjamin Hoffmann przejmie po nim interes.

Wzruszyła ramionami.

– No to już wiesz.  
– Jesteś osobą, która bez wyrzutów sumienia zdradza tych, których musi zdradzić, żeby iść za pieniędzmi i władzą?

Corina podniosła się nagłym ruchem, podeszła do okna. Wyjrzała na ulicę. Zapaliła papierosa.

– Oprócz tego o wyrzutach sumienia to chyba prawda. Nasłuchiwałem. Panowała cisza. Uświadomiłem sobie, że minęła północ. Że jest już Wigilia.

– Po prostu do niego zadzwoniłaś? – spytałem.

– Poszłam do niego do sklepu.

– A on cię przyjął?

Widziałem zarys jej wydętych warg na tle okna, kiedy wypuszczała dym.

– To mężczyzna. Taki jak wszyscy mężczyźni.

Pomyślałem o cieniach za mleczną szybą. O siniaku na jej szyi. Był świeży. Jak bardzo można być ślepym? Ciosy. Podporządkowanie się. Upokorzenie. Ona tego chciała.

– Rybak jest żonaty, więc co ci zaproponował?

Wzruszyła ramionami.

– Nic. Na razie. Ale zaproponuje.

Miała rację. Uroda triumfuje nad wszystkim.

– Byłaś taka zszokowana, kiedy wróciłem do domu, ale nie dlatego, że zostałem ranny, tylko dlatego, że przeżyłem.

– Jedno i drugie. Nie myśl sobie, że nie mam dla ciebie żadnych uczuć, Olav. Byłeś dobrym kochankiem.

– Zaśmiała się krótko. – Początkowo sądziłam, że nie masz tego w sobie.

– Czego?

Tylko się uśmiechnęła. Mocno zaciągnęła się dymem. Żar jaśniał czerwono w półmroku przy oknie. A ja pomyślałem, że jeśli ktoś na ulicy akurat podnosi głowę i patrzy, to może mu się wydać, że widzi plastikową rurkę imitującą domową przytulność. Rodzinne szczęście, nastrój świąt. I mógł pomyśleć, że ci ludzie tam, na górze, mają to wszystko, co sam chciałby mieć. Że żyją tak, jak właściwie należy żyć. Nie wiem. Wiem tylko, że sam właśnie tak bym pomyślał.

– Czego nie miałem w sobie? – powtórzyłem.

– Władcy. Mojego króla.

– Króla?

– Tak – roześmiała się. – A potem już myślałam, że będę musiała się powstrzymywać.

– O czym ty mówisz?

– O tym. – Ściągnęła bluzkę z ramienia i pokazała siniak.

– Nie ja to zrobiłem.

Ręka z papierosem znieruchomiła w połowie drogi do ust. Corina spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Nie? Myślisz, że zrobiłam to sobie sama?

– Mówię ci, że to nie ja.

Roześmiała się miękko.

– Daj spokój, Olav, nie ma się czego wstydzić.

– Ja nie biję kobiet.

– Rzeczywiście, trzeba przyznać, że trudno się o to doprosić. Ale duszenie ci się spodobało. Po tym, jak cię w końcu nakłoniłam, naprawdę ci się spodobało.

– Nie! – Zatkanym uszy rękami. Widziałem, że jej usta się poruszają, ale niczego nie słyszałem. Nie było czego słuchać. Bo ta historia wcale się tak nie układała. Nigdy taka nie była.

Ale jej usta dalej przybierały różne kształty. Niczym ukwiał, o którym kiedyś czytałem, że ma usta jak odbyt. Po co ona mówiła? Czego chciała? Czego chcieli oni wszyscy? Byłem teraz głuchoniemy. Nie miałem już żadnego aparatu do rozumienia fal dźwiękowych, które oni, ci normalni ludzie, produkowali nieustannie, te fale przesuwały się ponad rafą koralową i znikwały. Patrzyłem na świat, który nie miał sensu, wszystko w nim pozostawało bez związku. To było jedynie rozpaczliwe przeżywanie tego życia, które każdemu z nas przydzielono, przymusowe zaspokojenie każdej chorej żądz, tłumienie strachu przed samotnością i walka ze śmiercią, która zaczyna się, gdy tylko uświadamiamy sobie swoją przemijalność. Rozumiałem, o co jej teraz

chodzi. To. Już. Wszystko?

Sięgnąłem po spodnie wiszące na krześle przy łóżku. Włożyłem je. Jedna nogawka była sztywna od krwi. Odepchnąłem się od łóżka, zacząłem iść, ciągnąc nogę po podłodze.

Corina się nie poruszyła.

Pochyliłem się nad butami. Udało mi się je włożyć, mimo mdłości. Płaszcz. Paszport i bilety do Paryża miałem w wewnętrznej kieszeni.

– Nie dasz rady dotrzeć daleko – stwierdziła.

Kluczyki do volva w kieszeni spodni.

– Rana ci się otworzyła. Spójrz na siebie.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na klatkę schodową. Chwyciłem się poręczy i opierając się o nią obydwoma rękami, zacząłem schodzić, myśląc o tym małym napalonym samcu pająka, który trochę za późno zrozumiał, że wyznaczona pora wizyty minęła.

Kiedy znalazłem się na dole, krew w bucie już się przelewała.

Wziąłem kurs na samochód. Syreny policyjne. Rozbrzmiewały przez cały czas. Niczym dobiegające z oddali wycie wilków na zaśnieżonych wzgórzach otaczających Oslo. Rosnące, opadające, ścigające zapach krwi.

Tym razem volvo zapaliło od razu.

Wiedziałem, dokąd jadę. Ale ulice straciły formę i kierunek, zmieniły się w miękko kołyszące się w wodzie macki meduzy, musiałem więc cały czas

kręcić kierownicą, żeby się poruszać wzdłuż nich. Trudno było się rozeznąć w tym nowym giętym mieście, w którym nic nie chciało pozostawać w spokoju. Zauważyłem czerwone światło i zahamowałem. Próbowałem zorientować się, gdzie jestem. Musiałem przysnąć, bo nagle samochód za mną zatrąbił i zobaczyłem, że jest zielone. Dodałem gazu. Gdzie ja jestem? Czy to ciągle Oslo?

Moja matka nigdy ani słowem nie wspomniała o zabójstwie ojca. Tak jakby to się nigdy nie stało. Nie miałem nic przeciwko temu. Ale nagle pewnego dnia jakieś cztery czy pięć lat później, gdy siedzieliśmy przy stole w kuchni, spytała:

– Jak myślisz, kiedy on wróci?

– Kto?

– Twój ojciec. – Patrzyła gdzieś przed siebie rozmytymi oczami. – Już tak długo go nie ma. Ciekawe, dokąd się wybrał tym razem.

– On już nie wróci, mamo.

– Oczywiście, że wróci. Zawsze wraca. – Podniosła szklankę. – On mnie kocha, rozumiesz? I ciebie.

– Mamo, przecież sama pomagałaś mi go znieść...

Odstawiła szklankę z głośnym stuknięciem. Gin wychlapał się ponad krawędzią.

– Wiesz co – powiedziała bez cienia bełkotu i wbiła we mnie wzrok. – Tylko ktoś bardzo okrutny chciałby mi go odebrać. Nie zgodzisz się ze mną?

Zaczęła rozmazywać przezroczysty alkohol

po ceracie. Wcierać go, jakby chciała coś zatrzeć. Nie wiedziałem, co mówić. Ułożyła własną historię. Ja swoją. Nie mogłem ot, tak po prostu zanurkować w tym jeziorze gdzieś w głębi doliny Nittedal, tylko po to, żeby się przekonać, czyja wersja jest bliższa prawdy. Dlatego milczałem.

Ale wiedza o tym, że mogła kochać człowieka, który tak ją traktował, powiedziała mi tylko jedną rzecz o miłości.

A zresztą nie.

Wcale nie.

O miłości nie powiedziała mi nic.

Później już nigdy nie rozmawialiśmy o ojcu.

Skreśliłem tak, jak prowadziła droga. Starłem się jechać równo z nią na tyle, na ile mogłem, chociaż ona jakby starała się mnie zrzucić, wiła się, zmuszając samochód, a wraz z nim mnie, do ześlizgiwania się na ściany domów albo na przód aut nadjeżdżających z przeciwka i znikających przy wtórze wyjących klaksonów, których ton opadał jak dźwięki zmęczonej katarynki.

Skreśliłem w prawo. Wjechałem w spokojniejsze ulice. Mniej światła. Mniejszy ruch. Głębszy mrok. W końcu zupełnie się ściemniło.

Musiałem zemdleć i wypaść z drogi. Nie jechałem szybko. Uderzyłem głową o przednią szybę, ale ani na szybie, ani na czole nie było śladu, a słup latarni, wokół którego owinęła się kratka chłodnicy, nawet się

nie przechylił. Jednak silnik zgasł. Kilka razy przekręciłem kluczyk w stacyjce w jedną i w drugą stronę, lecz zapłon jęczał z coraz mniejszym entuzjazmem. Udało mi się otworzyć drzwiczki, wyczołgałem się. Leżałem oparty na kolanach i łokciach jak modlący się mahometanin, świeżo spadły śnieg palił w dłonie. Zacisnąłem je, próbując zbić w kulę ten suchy biały proszek. Ale ze świeżym puchem tak już bywa. Jest czysty i piękny, lecz trudno zrobić z niego coś stałego. Wiele obiecuje, ale koniec końców to, co próbujesz z niego ulepić, zawala się, rozsypuje w palcach jak pył. Podniosłem głowę, rozejrzałem się i zobaczyłem, dokąd przyjechałem.

Zawlokłem się pod witrynę. Przycisnąłem twarz do szyby, która tak cudownie chłodziła moje rozpalone czoło. Za nią w półmroku ciągnęły się regały i lady. Przyjechałem za późno, sklep już zamknięto. No, oczywiście, przecież był środek nocy. Na drzwiach wisiała nawet kartka informująca o zamknięciu jeszcze wcześniej niż zwykle. „23 grudnia zamykamy o 14.00 z powodu remanentu”.

Remanent. Najwyraźniej przyszedł na to czas.

W rogu przy krótkim pociągu uformowanym z wózków sklepowych stała mała brzydka choinka. Ale i tak zasługiwała na tę nazwę. Choinka. Świąteczne drzewko.

Nie wiem, dlaczego tu przyjechałem. Mogłem pojechać do pensjonatu, tam się zatrzymać, naprzeciwno



mieszkania człowieka, którego właśnie zlikwidowaliśmy. I tam gdzie mieszkała ta, która zlikwidowała mnie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby tam mnie szukać. Pieniądzy wystarczyłoby mi na dwie noce. Jutro mogłem zadzwonić do Rybaka, żeby resztę honorarium przelał mi na konto.

Usłyszałem własny śmiech.

Poczułem łzę toczącą się po policzku. Widziałem, jak spada, jak wbija się w świeży śnieg.

Potem jeszcze jedną. Zniknęła.

Spojrzałem na swoje kolano. Krople krwi skapywały z nogawki spodni i utrzymywały się na powierzchni śniegu niczym szumowina, otoczona śluzową błoną jak białko jajka. Chciałem, żeby zniknęły, żeby się wtopiły i zniknęły jak łyzy. Ale one nie zniknęły. Czułem, że moje spocone włosy lepią się do szyby. Może trochę za późno, żeby teraz o tym wspominać, ale na wypadek gdybym wcześniej o tym nie mówił, to mam długie, dość cienkie jasne włosy, brodę, niebieskie oczy i jestem średniego wzrostu. To w zasadzie cały ja. Włosy i broda to zaleta w razie, gdyby likwidacja miała trochę zbyt wielu świadków, bo stanowią potencjał szybkiej zmiany wyglądu. Czułem, że właśnie ów potencjał przymarza do szyby, zapuszcza korzenie, niczym jakiś stwór rodem z tej piekielnej rafy koralowej, o której ciągle bredzę. Zlewałem się w jedno ze szkłem, stawałem się szybą, tak jak to opisuje *Królestwo zwierząt, tom 5: Morze*, kiedy bezkręgowce parzydełkowce s t a j ą s i ę rafą

koralową, na której żyją. Nazajutrz będę mógł zobaczyć Marię, patrzeć na nią przez cały dzień, nie będąc przez nią widziany. Szeptać jej wszystkie słowa, jakie zechcę. Wykrzykiwać je, wyśpiewywać. Jedyne, czego teraz pragnąłem, to zniknąć. Może to zawsze było moje jedyne pragnienie. Zniknąć. Tak jak mama, która upijała się do niewidzialności przezroczywym alkoholem. Wchłaniała go, aż on ją pochłoniął. Gdzie teraz była? Nie pamiętałem. Nie pamiętałem tego od dawna. To dziwne. Potrafiłem opowiedzieć o swoim ojcu, ale gdzie była ta, która dała mi życie i utrzymywała mnie przy życiu? Naprawdę umarła i została pochowana na cmentarzu przy kościele na Ris? A może jednak gdzieś była? Przecież wiedziałem, musiałem to sobie tylko przypomnieć.

Zamknąłem oczy i oparłem się głową o szybę. Całkiem się rozluźniłem. Taki byłem zmęczony. Niedługo sobie przypomnę. Niedługo...

Nadciągnęła ciemność. Wielka ciemność. Rozpostarła wielką czarną pelerynę i zbliżyła się, żeby mnie objąć.

Panowała taka cisza, że miękki trzask zamka usłyszałem wyraźnie, jakby drzwi były tuż obok mnie. Usłyszałem kroki, znajome kuśtykanie, coraz bliżej. Nie otwierałem oczu. Kroki się zatrzymały.

– Olav.

Nie odpowiedziałem.

Podeszła. Poczułem rękę na ramieniu.

– Co. Ty. Tu. Robisz?

Otworzyłem oczy. Spojrzałem w szybę i w odbiciu zobaczyłem, że stanęła tuż za mną.

Otworzyłem usta, ale nie mogłem mówić.

– Ty. Krwawisz?

Kiwnąłem głową. Skąd mogła się tu wziąć w środku nocy?

No tak, oczywiście.

Remanent.

– Twój. Samochód?

Ułożyłem wargi i język, żeby odpowiedzieć „tak”, ale po prostu nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Kiwnęła głową, jakby zrozumiała. Chwyliła moją rękę i zarzuciła ją sobie na ramię.

– Chodź.

Kulejąc, powlokłem się do samochodu, wsparty o nią. O Marię. Dziwne, że w ogóle nie czułem jej utykania, jakby całkiem ustąpiło. Usadziła mnie na siedzeniu pasażera, sama obeszła auto od strony kierowcy, drzwiczki wciąż były otwarte. Nachyliła się nade mną, rozerwała nogawkę spodni na udzie, która pękła bez żadnego odgłosu. Z torebki wyjęła butelkę wody mineralnej, odkręciła korek i polała nią ranę.

– Kula?

Kiwnąłem głową i spuściłem oczy. Już mnie nie bolało. Ale otwór pozostawiony przez kulę wyglądał jak mokry pysk ciężko dyszącej ryby. Maria kazała mi lekko unieść nogę i mocno ją obwiązała zdjętym z szyi

szalikiem.

– Trzymaj. Palce. Tutaj. I. Naciskaj. Ranę.

Przekręciła kluczyk, który wciąż tkwił w stacyjce. Samochód zapalił z miękkim uległym warknięciem. Wrzuciła wsteczny i wycofała się spod latarni. Wyjechała na ulicę.

– Mój. Wujek. Jest. Chirurgiem. Marcel. Myriel.

Myriel, tak miał na nazwisko tamten ćpun. Jak mogli oboje mieć wujka o tym samym...

– Nie. Do. Szpitala. – Spojrzała na mnie. – U. Mnie.

Oparłem głowę o zagłówek. Ona nie mówiła jak głuchoniema. Mówiła dziwnie, szarpiąco, ale nie jak ktoś, kto nie umie mówić, raczej jak...

– Francuzka – wyjaśniła. – Przepraszam. Ale. Ja. Nie. Lubię. Mówić. Po. Norwesku. – Roześmiała się. – Wolę. Pisać. Zawsze. Tak. Robiłam. Jako. Dziecko. Czytałam. A. Ty. Lubisz. Czytać. Olav?

Minął nas nadjeżdżający z przeciwka radiowóz z niebieskim światłem wolno obracającym się na dachu. W lusterku widziałem, jak znika. Jeśli wypatrywał volva, to musiał być nieuważny. A może chodziło o coś innego?

Jej brat. Tamten ćpun był jej bratem, a nie chłopakiem. Prawdopodobnie młodszym bratem. To dlatego była gotowa poświęcić dla niego wszystko. Ale dlaczego ten chirurg, jej wuj, nie mógł jej wtedy pomóc? Dlaczego musiała... Dość już. Reszty dowiem się później. Na razie włączyła grzanie, od którego

zrobiłem się tak senny, że musiałem się bardzo koncentrować, żeby nie odlecieć.

– Wydaje. Mi. Się. Że. Ty. Czytasz. Olav. Bo. Jesteś. Jak. Poeta. To. Takie. Piękne. To. Co. Mówisz. Kiedy. Jesteśmy. Pod. Ziemią.

Pod ziemią?

Oczy mi się zamknęły, ale powoli docierał do mnie sens jej słów. W kolejce. Słyszała wszystko, co mówiłem.

Wszystkie te popołudnia, kiedy wydawało mi się, że jest głucha, ona po prostu stała i pozwalała mi mówić. Dzień po dniu tylko udawała, że nie słyszy ani mnie nie widzi. Jakby to była zabawa. To dlatego chciała wziąć mnie za rękę w sklepie. Wydawało jej się, iż wie, że ją kocham, a ta bombonierka była sygnałem, że wreszcie jestem gotów zrobić krok ze świata fantazji do rzeczywistości. Czy właśnie tak mogło być? Czy naprawdę mogłem być tak ślepy, jak ona wydawała mi się głuchoniema? A może cały czas to wiedziałem, tylko po prostu temu zaprzeczałem?

Czy to możliwe, że przez cały czas mogłem zdążyć tutaj, do Marii Myriel?

– Wujek. Na. Pewno. Przyjdzie. Dziś. W. Nocy. A. Jak. Się. Zgodzisz. To. Będzie. Francuska. Wigilia. Gęś. Wieczorem. Po. Nabożeństwie.

Wsunąłem rękę do kieszeni, znalazłem kopertę. Wyciągnąłem ją. Oczy wciąż miałem zamknięte, ale poczułem, że Maria wyjmuje mi ją z ręki, zjeżdża

na bok, staje. Byłem taki zmęczony, taki śpiący.

Zaczęła czytać.

Czytała te słowa, którymi krwawiłem na kartkę, które rozbijałem na kawałeczki i z powrotem łączyłem, żeby właściwe litery znalazły się na właściwych miejscach.

Te słowa wcale nie wydawały się martwe. Przeciwnie, były żywe. I prawdziwe. Tak prawdziwe, że „kocham cię” wydawało się jedyną rzeczą, jaką można powiedzieć. Tak żywe, że wszyscy, którzy te słowa słyszeli, musieli widzieć mężczyznę piszącego o dziewczynie, do której chodził codziennie, do tej z delikatesów, którą kochał, chociaż tego nie chciał, bo nie chciał kochać kogoś takiego samego jak on, nieidealnego, z wadami i usterkami. Ona przecież również była gotową na poświęcenia żalosną niewolnicą miłości, posłusznie czytającą z ruchów warg, nigdy sama się nie odzywała, ale umiała się podporządkować i w tym znajdowała dla siebie nagrodę. Nie potrafiłby jej nie kochać. Była wszystkim, czego nie chciał. Była jego własnym upokorzeniem. A zarazem tym, co najlepsze, najbardziej ludzkie i najpiękniejsze.

Niewiele wiem, Mario. W zasadzie tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, nie wiem, w jaki sposób miałbym dać szczęście komuś takiemu jak ty, bo jestem tym, który niszczy, a nie tym, który buduje życie i sens. A po drugie, wiem, że cię kocham, Mario. Właśnie dlatego nigdy nie przyszedłem na ten obiad. Olav.

Słyszałem płacz w jej głosie, kiedy odczytywała

ostatnie zdania.

Siedzieliśmy w ciszy. Umilkły nawet policyjne syreny. W końcu Maria się odezwała:

– Dałeś. Mi. Szczęście. Teraz. Olav. To. Mi. Wystarczy. Nie. Rozumiesz. Tego?

Kiwnąłem głową, wziąłem głęboki oddech. Pomyślałem, że teraz mogę umrzeć, mam. Bo nie muszę już więcej zmyślać. Nie potrafię wymyślić tej opowieści lepiej.

## 21

Mimo silnego mrozu śnieg padał przez całą noc, a kiedy pierwsi ludzie wstali w porannej ciemności i wyjrzeni na Oslo, zobaczyli, że miasto przykryła gruba biała kołdra. Samochody poruszały się powoli po śladach na śniegu, ludzie okrążali zaspę na chodnikach uśmiechnięci, bo nikomu się nie spieszyło, była Wigilia, czas pokoju i refleksji.

W radiu mówili o rekordowych mrozach i ochłodzeniu, a w sklepie rybnym na Youngstorget pakowano ostatnie kilogramy dorsza i śpiewnie życzone „wesołych świąt” z tą niezwykłą norweską melodią języka, która bez względu na treść ma w sobie radość i śmiech.

Przy kościele na Ris taśmy policyjne wciąż zagrażały wejście, a w środku pastor dyskutował z policją, jak ma odprawić świąteczne nabożeństwo, kiedy po południu zaczną schodzić się ludzie.

W Szpitalu Centralnym w Oslo chirurg opuścił dziewczynkę na stole operacyjnym i wyszedł na korytarz. Ściągnął rękawiczki i ruszył w stronę siedzących tam dwóch kobiet. Zobaczył, że lęk i desperacja wcale nie znikają z ich zmartwiałych twarzy, i dopiero wtedy zrozumiał, że zapomniał zdjąć maseczkę, dlatego nie widziały jego uśmiechu.



Maria Myriel szła od stacji kolejki pod górę do delikatesów. Dziś miała pracować krótko, bo zamykali o dwunastej. Jest przecież Wigilia. Wigilia!

Śpiewała w duchu. Piosenkę o tym, że znów go zobaczy. Wie, że znów go zobaczy. Wiedziała o tym od tamtego dnia, kiedy przyszedł i zabrał ją stamtąd... Od wszystkiego tego, o czym nie chciała już myśleć. Te jego niebieskie dobre oczy, czasami przesłonięte długimi jasnymi włosami. Proste wąskie usta wśród gęstej brody. I dłonie. Zwróciła uwagę właśnie na nie. To przecież naturalne. To były dłonie mężczyzny, ale zadbane. Duże, trochę kwadratowe, trochę takie jak na rzeźbach przedstawiających bohaterów ruchu robotniczego. Wyobrażała sobie, że te dłonie będą ją głaskać, tulić i pocieszać. Tak jak jej dłonie chciały to robić z nim. Czasami ogarniał ją strach, kiedy czuła siłę swojej miłości. Była niczym tama gotowa zaraz pęknąć, a Maria zdawała sobie sprawę z tego, jak niewiele dzieli skąpanie kogoś w miłości od utopienia w niej. Ale akurat tego teraz się nie bała. On wyglądał tak, jakby był gotów to przyjąć, a nie tylko dawać.

Zobaczyła, że przed sklepem zebrali się ludzie. Stał tam też policyjny radiowóz. Czyżby włamanie?

Nie, najwyraźniej tylko jakiś wypadek. Samochód wbity przodem w latarnię.

Ale kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że ludzie z większym zainteresowaniem patrzą na szybę sklepową

niż na samochód, więc może jednak ktoś się włamał. Z tłumy wyłonił się policjant, podszedł do radiowozu, wyciągnął mikrofon i coś do niego mówił. Z ruchu warg odczytała: „Nie żyje” i „rana postrzałowa”, a także „to volvo”.

Drugi policjant kazał ludziom się rozejść. Kiedy się odsunęli, zobaczyła jakąś postać. W pierwszej chwili myślała, że to bałwan, ale po chwili zorientowała się, że to człowiek nachylony do okna, tylko cały pokryty śniegiem. W pozycji stojącej przytrzymały go długie jasne włosy i broda przymarznięte do szyby. Nie chciała, lecz mimo to podeszła bliżej. Policjant coś do niej powiedział, wskazała na swoje uszy i usta, potem na sklep. Wyjęła identyfikator z nazwiskiem. Czasami myślała o tym, żeby wrócić do nazwiska Olsen, ale przecież jedyną rzeczą, jaką tamten jej zostawił oprócz taniego pierścionka i długu za narkotyki, było to francuskie nazwisko, które brzmiało o wiele ciekawiej niż Olsen.

Policjant kiwnął głową i dał jej znak, że może otworzyć sklep, lecz ona dalej stała.

Świąteczna piosenka w jej głowie ucichła.

Wpatrywała się w niego. Wyglądał tak, jakby miał cieniutką skórę z lodu, a pod nią ledwie widoczne niebieskie naczynia krwionośne. Jak bałwan ze śniegu, który wessał w siebie krew. Spod oszronionych rzęs martwe oczy wpatrywały się w sklep. W to miejsce, na którym wkrótce miała usiąść i wybijać ceny

na aparacie kasowym, uśmiechać się do klientów, wyobrażać sobie, kim są i jak żyją. A wieczorem zjeść czekoladki, które dostała od niego.

Policjant wsunął rękę do kieszeni jego płaszcza, wyjął portfel, otworzył go i wyciągnął zielone prawo jazdy. Ale Maria nie na to patrzyła. Utkwiła wzrok w żółtej kopercie, która upadła na śnieg, kiedy policjant sięgał po portfel. Wypisane na niej litery były zgrabne, kształtne, niemal kobiece.

Dla Marii.

Policjant z prawem jazdy pomaszerował do radiowozu. Maria schyliła się, podniosła kopertę. Schowała ją do kieszeni. Nikt chyba tego nie zauważył. Spojrzała w to miejsce, w którym koperta przed chwilą leżała. Na śnieg i na krew. Taki biały. Taka czerwona. Niezwykle piękne połączenie. Jak królewski płaszcz.

## Przypisy

[1] *Spektakl o świętym Olafie* – dramat historyczny opowiadający o ostatnich dniach króla Olafa II Haraldssona, świętego, odgrywany na wolnym powietrzu co roku 29 lipca w Stiklestad, miejscu bitwy, w której w 1030 roku zginął król. W przedstawieniu, będącym rekonstrukcją historyczną, uczestniczą ochotnicy-amatorzy (przyp. tłum.).

[2] *Pine* (norw.) – ból, udreka (przyp. tłum.).



ŚLADY



ZBRODNI

# KREW NA ŚNIEGU

Olav zarabia na życie jako płatny morderca. Nie ma przyjaciół ani rodziny. Pewnego dnia spotyka kobietę swoich marzeń, ale... Po pierwsze, ona jest żoną jego szefa. Po drugie, Olav właśnie dostał zlecenie, by ją zabić.

*Ta niewielka powieść to kawał wyśmienitej pisarskiej roboty, która pokazuje, że nawet bez Harry'ego Hole Jo Nesbø wzbija się na wyżyny.*

*„Tvedestrandsposten”*

*Wybuchowa mieszanka zbrodni i zemsty.*

*„Independent”*

*Wielki finał jest krwawy, szalony i pełen czarnego humoru – to scena, za którą bracia Coen daliby się pokroić.*

*„Vårt Land”*

**Drugi tom cyklu**  
**„Krew na śniegu”**  
**– jesień 2015**

[www.jonesbo.pl](http://www.jonesbo.pl)



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5335-7

EAN 9788327153357

U.WD.KRW047.1.01.01